

**KORCZAK**  
**JANUSZ**

KRÓL MACIUSZ  
NA WYSPIE  
BEZLUDNEJ

# Korczak Janusz

## Król Maciuś na wyspie bezludnej

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23539954](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23539954)*

*Król Maciuś na wyspie bezludnej:*

### Аннотация

Królowie urządzili zjazd, aby zdecydować, na którą wyspę zesaść pokonanego Maciusia. A on ucieka z więzienia, ukrywa się jako chłopiec na posyłki u rzeźnika i jako dziewczynka w sierocińcu, by w końcu zjawić się niespodziewanie w miejscu obrad władców. Popierają go dzicy ludożercy, z czego wynika mnóstwo kłopotów, aż wreszcie Maciuś, zniechęcony, dobrowolnie udaje się na wygnanie. Na bezludnej wyspie ma dużo czasu, by rozpamiętywać błędy swojego królowania i plany na przyszłość. Ale nie sądzony mu los pustelnika, kiedy trzeba ratować przyjaciół w nieszczęściu... Zarówno bohaterskie czyny i niezwykle przygody, jak i liczne trudności i smutki służą w tej książce jednemu celowi: Janusz Korczak stara się przekazać młodym czytelnikom wiedzę o prawach, rządzących życiem. On najlepiej wie, jak bardzo dzieci tego potrzebują.

# Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

66

# Janusz Korczak

## Król Maciuś na wyspie bezludnej

Ach, jak strasznie źle było Maciusiowi w więzieniu. Właściwie nie było mu źle – ale ciasno. Ciasno i nudno.

Bo jeżeli ktoś siedzi w więzieniu – i mają rozstrzelać – wcale się nie nudzi. Ale Maciuś miał być wysłany na bezludną wyspę. Maciuś przegrał wojnę, był jeńcem królewskim i – zupełnie jak Napoleon będzie wysłany na wyspę.

A tymczasem czeka.

Mieli go wysłać za tydzień, a przeszło trzy tygodnie – i nic. Bo trzech królowie, którzy wzięli go do niewoli, ani rusz nie mogą się pogodzić. Młody król nie ukrywał wcale, że nienawidzi Maciusia, pragnąłby najlepiej pozbyć go się zupełnie. Smutny król już nie bał się przyznać, że jest przyjacielem Maciusia. Więc król, opiekun żółtych, któremu było wszystko jedno – mówił, jak być powinno.

A powinno być tak, żeby Maciuś żył sobie spokojnie, ale żeby nie mógł się wtrącać do niczego i żeby nie mógł uciec. Więc nie można wysłać Maciusia na wyspę Maras, bo tam są błota, jest żółta febra i czarna ospa. Nie można wysłać Maciusia na wyspę Luko, bo za blisko lądu i czarni królowie mogliby ułatwić ucieczkę. Aż ogłosili konkurs, to znaczy wydrukowali we

wszystkich gazetach całego świata takie ogłoszenie:

Jeżeli jaki nauczyciel geografii wskaże nam dobrą wyspę dla Maciusia, otrzyma dużą nagrodę. Dajemy miesiąc czasu, żeby napisali, gdzie ta wyspa leży i dlaczego jest odpowiednia dla Maciusia.

Zaczęły nadchodzić odpowiedzi. Królowie powiesili na ścianach mapy wszystkich części świata i na wyspach, które im się podobały, wkłuwali szpilki z chorągiewkami.

Tymczasem przyjechał Bum-Drum, jeszcze kilku mniej ważnych królów czarnych i żółtych, przyjechała królowa Kampanella i pięciu białych królów, którzy udawali, że też mają wiele do powiedzenia.

Narady odbywały się w różnych miastach, bo królowie byli dumni i mówili:

– Jak chcą, żebym radził, niech do mnie przyjadą, żeby nie wygłądało, że ich proszę o łaskę.

I każdy z królów chciał trochę pojeździć.

Dwa razy zebrali się w miasteczku nad morzem, potem radzili w dużym mieście w górach, potem pojechali do miasta, gdzie było najsmaczniejsze na całym świecie piwo, a potem tam, gdzie było ciepło. Każdy z królów woził paru ministrów, każdy minister woził sekretarzy, każdy sekretarz woził parę panienek, które pisały na maszynie, o czym królowie mówią, bo to się nazywa – protokół<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> *protokół* – 1. zapis wszystkiego, co zostało powiedziane podczas narady, zebrania lub posiedzenia; 2. **protokół dyplomatyczny** to zbiór reguł postępowania

A Maciuś tymczasem siedzi w więzieniu i czeka.

Gdyby choć mógł czytać gazety, gdyby wiedział, że o nim mówią i piszą – byłoby lepiej niż teraz, kiedy myśli, że wszyscy już o nim zapomnieli.

Bum-Drum bardzo chciał się widzieć z Maciusiem, ale bał się zdradzić – i udawał nawet zagniewanego.

– Wymanił mi Maciuś tyle złota – skarżył się Bum-Drum – obiecał nauczyć czarne dzieci wszystkiego. I co? Część zginęła w boju, część siedzi w obozie dla jeńców. Biedna Klu-Klu w więzieniu.

I Bum-Drum chciał fiknąć żałobnego koziółka, ale przypomniał sobie, że już nie jest dziki, więc tylko tarł oczy, niby że płacze.

– Jeżeli wasza królewska mość życzy sobie uwolnić królową Klu-Klu, możemy na jutrzejszym posiedzeniu wnieść tę sprawę pod obrady – powiada młody król, który zaczął się Bum-Drumowi podlizywać.

– Nie – mówi Bum-Drum ze łzami w oczach. – Tyle macie ważnych spraw, że szkoda czasu na zajmowanie się jedną lekkomyślną dziewczynką.

Bum-Drum wiedział, że wśród białych trzeba koniecznie płakać, gdy się mówi o czymś smutnym. Więc nosił flaszeczkę z amoniakiem i wachał, kiedy należało być wzruszonym. Bo

---

obowiązujących podczas oficjalnych spotkań władców lub ambasadorów różnych państw; pojęcie o znaczeniu zbliżonym do znaczenia wyrażenia **etykieta (dworska)**; w niniejszym zdaniu możliwe oba znaczenia. [przypis edytorski]

omoniak, musztarda i cebula – wyciskają łzy z oczów<sup>2</sup>.

Ano dobrze. Na dwudziestym czwartym posiedzeniu postanowią już, dokąd wysłać Maciusia. Zebranie odbędzie się w pałacu Kampanelli, która miała przez Maciusia pierwszy na świecie prawdziwy bunt dzieci z zielonym sztandarem.

Królowa Kampanella była bardzo ładna. Mąż jej umarł w marcu. Dzieci nie miała. Pałac jej mieścił się w pięknym pomarańczowym ogrodzie nad brzegiem ślicznego jeziora.

W czarnych frakach przyjechali trzej nauczyciele geografii; ich wyspy najlepiej się podobały. I jedną z trzech wysp mieli wybrać dla Maciusia.

– Moja wyspa – mówi pierwszy nauczyciel – jest tu.

I pokazał pałeczką na mapę, ale wszyscy widzieli tylko morze, bo żadnej wyspy nie było.

– Dziwicie się, wasze królewskie moście, że wyspy nie ma na mapie. Zaraz wam wytłumaczę. Na mapach rysuje się tylko duże wyspy, bo by się wszystkie nie zmieściły. Jeżeli jest na mapie choćby tylko kropeczka, to wyspa jest duża. Moja wysepka ma tylko trzy kilometry, jest więc bardzo mała. Za to wygodniej będzie Maciusia pilnować. Wysokich drzew nie ma – w ogóle mało jest roślin – trochę trawy tylko i krzaków. Jest zupełnie bezludna i bardzo daleko od lądu. Miejscowość zdrowa, zimy wcale nie ma. Wystarczy zbudować drewniany barak dla Maciusia i straży. Raz na miesiąc można posyłać jedzenie – i już. Niech sobie siedzi.

---

<sup>2</sup> *oczów* – dziś popr. forma D. lm: *oczu*. [przypis edytorski]

Całe szczęście, że Bum-Drum był Murzynem. Bo gdyby nie był czarny, to by tak zbladł, że wszyscy od razu by poznali, jak bardzo go ta wyspa przestraszyła.

– Jak ona się nazywa? – zapytał się młody król.

– Otóż to właśnie. Zaraz powiem. Tę wyspę odkrył w roku 1750 podróżny Don Pedro. Burza połamała mu żagle, z trudem tam wylądował i przez lat dwadzieścia mieszkał. Aż przypadkiem znalazł go okręt korsarski. Don Pedro udawał, że chce zostać rozbójnikiem, a że obrośnięty naprawdę wyglądał jak zbój – więc go przyjęli. Cztery lata był korsarzem. Wreszcie uciekł i nazwał ją Wyspą Żadnej Nadziei. Wszystko opisane jest w bardzo grubej książce, której – pewien jestem – żaden nauczyciel geografii oprócz mnie nie czytał.

– Moja wyspa – mówi drugi nauczyciel geografii – ma jedną wadę: leży trochę za blisko lądu. Ale za to obok jest mała wysepka z latarnią morską. Jak jest mgła albo w nocy – latarnia się pali – wszystko widać. Na południu wyspy jest skała – obok skały polanka. Na polance jest dom dla Maciusia. Wyspę tę zamieszkiwali dawniej bardzo spokojni Murzyni. Jak tylko biali odkryli wyspę, zaraz urządzono szkołę. Nauczono ich modlić się i palić fajki. Marynarze dawali tytoń, brali wanilię, cynamon i kanarki. Po pięciu latach pewien kupiec założył nawet sklep. I byłoby dobrze; ale dzieci kupca zachorowały na odrę. Dla białych odra nie jest niebezpieczna, ale czarne wszystkie dzieci umarły, a z dorosłych zostało nie więcej niż stu ludzi. Jeżeli są tam jeszcze, to pewnie bardzo niewielu – i siedzą w lesie w

zachodniej części wyspy, bo uciekli przed odrą, sklepem i szkołą białych.

– Gdzie jest ta wyspa? – zapytał się<sup>3</sup> smutny król.

– Tu – pokazał pałeczką na mapie nauczyciel geografii.

Jak się nie zerwie nagle Bum-Drum z krzesła, jak nie huknie pięścią w stół.

– Nie pozwalam! – krzyczy. – Ta wyspa jest za blisko lądu, gdzie mieszkają Murzyni. Maciuś ucieknie i zbuntuje mi dzieci. Co wy sobie, do zielonej małpy, myślicie!

Królowie bardzo się obrazili.

Królowa Kampanella z przestachu mało nie zemdłała, nauczycielowi geografii laseczka aż wypadła z ręki, bo Bum-Drum chciał się rzucić na niego – i ledwo młody król go przytrzymał.

– Uspokój się, czarny przyjacielu, jeszcze twojej wyspy nie ruszamy. Jak nie, to nie. Bo to jedna wyspa jest na świecie?

Ale kiedy biali królowie zebrali się wieczorem osobno w pomarańczowym ogrodzie, wszyscy, na złość Bum-Drumowi, a może trochę młodemu królowi, tę właśnie wyspę chwalili.

– To przecież śmieszne, żebyśmy się słuchali tego ordynarnego dzikusa. Może mu się naprawdę zdawać, że go się boimy. Jakże Maciuś może uciec, jeżeli go straż będzie pilnowała, a w nocy latarnia morska oświetla polankę?

– Przecież to dziecko – mówi królowa Kampanella. – Trzeba mu dać trochę drzew, zieleni, trochę śpiewu ptasząt. Maciuś

---

<sup>3</sup> zapytać się (reg.) – zapytać. [przypis edytorski]

wyrządził mi krzywdę, ale mu przebaczam.

– Szlachetne serce waszej królewskiej mości wzrusza nas głęboko – powiedział znany z grzeczności dla dam król Malto.

– Zapewne – wtrącił młody król – ale szanując tkliwość serca królowej, musimy w polityce kierować się przede wszystkim rozumem i ostrożnością.

– Ależ to dziecko – powtórzyła królowa, podając młodemu królowi dwie malinowe pomarańcze i siedem daktyli.

– Wszystko przemawia za tym, żeby wybrać tę właśnie wyspę – mówi przyjaciel żółtych królów. – Dowóz żywności dla straży i Maciusia będzie łatwiejszy, bo bliżej, przy tym morze jest tu zupełnie spokojne. Budować nic nie potrzeba, bo jest już budynek szkoły, gdzie mogą mieszkać. No i nie bądźmy śmieszni: gdyby nawet Maciuś próbował uciec – zjedzą go dzikie zwierzęta, a nie znając mowy Murzynów, jakże się z nimi porozumie? Widzimy więc, że nie tylko serce naszej pięknej gospodyni, ale i rozum, i ostrożność pozwalają nam wysłać tam Maciusia.

Młody król już się nic nie odzywał, tylko, zajądając daktyle, myślał strapiiony:

„Będę miał przeprawę z Bum-Drumem”.

Przechadza się Maciuś po dziedzińcu więziennym. Wokoło nic, tylko czerwone, wysokie mury. Jedno stare drzewo orzechowe rośnie na środku. Było więcej, ale stały za blisko muru. Ścięto je, kiedy lat temu dziewięć uciekł z więzienia

słynny bandyta, którego długo potem szukała policja. Teraz koło muru pozostało tylko dwanaście pni – i jeszcze bardziej ponuro wygląda podwórko.

Przechadzka trwa pół godziny. Przed Maciusiem idzie dwóch żołnierzy z nabitymi karabinami, za Maciusiem też dwóch, a z prawej i z lewej strony – po trzech żołnierzy z obnażonymi pałaszami<sup>4</sup>. Maciuś patrzy w ziemię i liczy kroki:

– Jeden – dwa – trzy – cztery – pięć – sześć – siedem kroków...

Razem wypada sto dwadzieścia małych albo osiemdziesiąt dużych: siedemdziesiąt kroków do drzewa orzechowego i pięćdziesiąt – od drzewa do muru. Co dziesięć kroków Maciuś podnosi głowę i spogląda na orzech.

Bo na co ma patrzeć? Czasem zupełnie zamyka oczy i otwiera dopiero, kiedy ma spojrzeć na drzewo. Czasem stawia na przemian – raz duży, raz mały krok. Czasem chodzi na palcach albo dziesięć kroków na palcach, a dziesięć na piętach. Jak mógł, urozmaicał sobie nudny spacer więzienny. Przychodziło mu często do głowy, żeby skakać na jednej nodze. Skakał nawet czasem, ale tylko w więziennej celi, kiedy był pewien, że nikt nie widzi. Gdyby był zwyczajnym więźniem, byłoby mu lepiej; ale jako więzień królewski musi tym bardziej dbać o swój honor, że wrogowie chcieli go honoru pozbawić.

– Więzień numer dwieście jedenasty do kancelarii! – zawołał

---

<sup>4</sup> *pałasz* – rodzaj białej broni, podobny do lekkiego miecza, o prostej, dość długiej i wąskiej głowni, w Polsce używany od XVI do XIX w. [przypisy edytorski]

przez okratowane okno naczelnik więzienia.

Maciuś drgnął: to jego numer. Ale udaje, że nic – idzie dalej.

– Wzywają waszą królewską mość do kancelarii – mówi starszy żołnierz warty.

Bo wydano rozkaz, żeby Maciusia nazywać królem, kiedy się do niego zwracają, bo inaczej ani nie odpowiadał, ani się nie słuchał. Więc mówiono o nim: więzień numer dwieście jedenasty, ale do niego: wasza królewska mość.

– Do kancelarii.

Spojrzał Maciuś na orzechowe drzewo, zawrócił – zmarszczył brwi – ręce w tył założył – stawia umyślnie małe kroki, niby że się wcale nie śpieszy – wreszcie jest – czeka. Ale nogi drżą pod nim, a serce tak stuka, tak stuka.

– Wasza królewska mość usiąść raczy – powiedział bardzo grzecznie naczelnik więzienia i sam podał mu krzesło.

Maciuś od razu się domyślił, że stało się coś niezwykłego. Nauczył się Maciuś zwracać uwagę na najmniejszy szczegół, nauczył się czytać myśli różnych ludzi. Zrozumiał Maciuś, że często ludzie coś mówią, a myślą zupełnie co innego.

Szorstko odsunął podane krzesło.

Do kancelarii wchodzi król Orestes Drugi i jakaś pani bardzo ładna w czarnej aksamitnej sukni. Król Orestes był u Maciusia na zjeździe królów. Poznał go Maciuś po Orderze Wielkiego Półksiężyca: największy order, jaki Maciuś widział.

– Jestem królowa Kampanella – powiedziała pani w czarnej sukni.

– Jestem więzien numer dwieście jedenasty – z goryczą przedstawił się Maciuś. I patrzy jej prosto w oczy, niedbale oparty o poręcz krzesła.

– O nie – odparła z prostotą królowa. – Dla mnie król Maciuś Reformator pozostanie zawsze – dobrym opiekunem dzieci i walecznym rycerzem.

I podała rękę, którą Maciuś z szacunkiem ucałował.

Teraz chciał się przywitać Orestes. Ale Maciuś wyprostował się dumnie i nie podał ręki.

– Jestem więzieniem i nie mam orderów – powiedział, patrząc mu ostro w oczy.

Naczelnik więzienia, chcąc przerwać nieprzyjemną scenę, którą widzieli żołnierze i urzędnicy – poprosił wszystkich do salonu prywatnego mieszkania.

Maciuś spojrział na dywan, kosztowne obicie mebli, kwiaty w oknach – uśmiechnął się nieznacznie. Spozstrzegła ten uśmiech bolesny królowa.

Rozsiadł się obrażony Orestes i przegląda obrazki dużej, pięknie oprawionej książki, która leżała na stole.

Maciuś jest zły – strasznie zły. Gniewa go salon, gniewa naczelnik więzienia, gniewają kwiaty, dywan, fortepian – milczenie królowej – gniewa, że królowa tak na niego patrzy. A najbardziej gniewa go Orestes i jego ogromny Order Półksiężyca.

„Czy też mnie wyzwie na pojedynek, że ręki mu nie podałem?” – myśli Maciuś.

Kiedy później myślał Maciuś o tej wizycie, zrozumiał powód gniewu. W długich godzinach zamknięcia i osamotnienia oczekiwał Maciuś smutnego króla. Kiedy w salonie naczelnika więzienia zobaczył fortepian, jak żywy stanął mu przed oczami smutny król, a w uszach dźwięczeń zaczęły najsmutniejsze melodie. Nikt inny nie miał prawa przyjechać. Co innego Kampanella, a co innego jakiś tam nieważny królik małego kraju.

Co by mu jeszcze powiedzieć, żeby zrozumiał, że niepotrzebnie wtrąca tu swoje trzy grosze?

W ogóle chce się Maciusiowi strasznie dużo mówić, a boi się, żeby się z czymś niestosownym nie wyrwać. Przypomniawsobie Maciuś mistrza ceremonii, który zawsze w porę coś takiego zrobił, że było wszystko w porządku. No bo co? Królowa patrzy, tamten ogląda obrazki, a naczelnik więzienia stoi jak słup – i wcale się nie kończy.

– Może podać herbatę albo kawę ze śmietanką? Mam doskonałe ciasteczka domowej roboty – zaczął naczelnik, ale pożałował.

– Czyś pan oszalał – krzyknął Maciuś, a w oczach zamigotały mu iskry. – Czy na to cały miesiąc gniję w pańskim lochu, żeby wreszcie ciasteczka zajadać? Chcę wiedzieć, co postanowili moi wrogowie. Żądam nieodwołalnie, żeby mnie zesłano natychmiast na bezludną wyspę. Gdyby mi powiedzieli, że całe tygodnie mam siedzieć w więzieniu, nie przyjąłbym ułaskawienia. Chciałem zginać w domku dzikich zwierząt – oni podstępem mnie ujęli.

Żądam oficjalnego papieru z pieczęcią.

Nagle pochwycił Maciuś piękną, porcelanową wazę i uderzył nią o stół, tuż obok książki z obrazkami. Waza potłukła się na drobne kawałki, Maciuś zakrwawił sobie rękę. Orestes zerwał się z fotela, królowa przymknęła oczy, a naczelnik więzienia wybiegł po doktora, bo sam nie wiedział, co robić.

Królowa Kampanella wyjęła z torebki pachnącą chusteczkę do nosa i łagodnie wyciera krew z ręki Maciusia. Królowa miała plan gotowy: nie pozwoli wysłać królewskiego sieroty na bezludną wyspę – weźmie go do siebie.

Kampanella jest samotna, dzieci nie ma, mąż jej umarł. Niech otoczą wysokim murem piękny park pomarańczowy, który doskonale zastąpi wyspę bezludną. A Kampanella będzie mu matką.

Lekarz więzienny owiązał Maciusiowi rękę, bo inaczej nie wypadało przy królach – i dał Maciusiowi pięć kropli na cukrze na uspokojenie nerwów. Lekarz więzienny miał dwa lekarstwa: w lewej kieszeni krople, w prawej proszki. Jedno i drugie było strasznie gorzkie i dawało się na wodzie. Ale jeśli naczelnik więzienia darował własny cukier, można zrobić wyjątek.

Nazajutrz Maciuś oznajmił, że ani pokarmów przyjmować nie będzie, ani na przechadzkę nie wyjdzie. Żąda papieru z pieczęcią, żeby wiedzieć wreszcie, co chcą z nim zrobić. Dłużej w więzieniu siedzieć nie myśli.

Koło południa wezwano Maciusia do kancelarii. Maciuś odmówił: nie pójdzie. Nie ruszy się z miejsca, dopóki mu nie

dadzą papieru z pieczęcią.

Chce wiedzieć! Dość tej zabawy w ślepa babkę<sup>5</sup>.

Niezadowolony był naczelnik więzienia. Bo królowa nie tylko się nie obraziła, że Maciuś nie wyszedł, ale przyznała mu słuszość. Chciała przy tym zobaczyć, jak Maciuś mieszka. A mieszkał źle. Cella była wilgotna i ciemna, po ścianach łążyły pająki i pluskwy, i Maciuś spał na sienniku na podłodze. W kącie stała miednica i dzbanek wody, i nawet krzesła nie było. A królowa przyniosła ogromny bukiet białego bzu. Co tu robić?

Zaraz dozorca zaniósł do celi miękki fotel z prywatnego mieszkania i taką samą piękną wazę, jaką już Maciuś stłukł wczoraj. Bo było ich dwie: jedna stała na stole, a druga na fortepianie. Naczelnik więzienia chciał, żeby Maciuś i tę drugą wazę potłukł; wtedy królowa zobaczy, jak trudno z nim radzić, i zrozumie, dlaczego Maciusia trzymają w takiej ciemnej celi.

Ale Maciuś nad wyraz uprzejmie przyjął królową. Z ogromną wdzięcznością wziął bukiet, który jednak wstawił do swojego glinianego dzbanka z wodą, a nie do porcelanowej wazy. Kampanella, zachęcona tym, położyła nieznacznie pudełko czekoladek, pudełko to miała ukryte w kieszeni królewskiego płaszcza, bo nie wiedziała, w jakim Maciuś będzie humorze.

– O nie, za czekoladki dziękuję: zbyt boleśnie przypominają mi one moją pierwszą dziecienną reformę.

---

<sup>5</sup> *Ślepa babka* – dziś raczej: ciuciubabka, zabawa, w której jedna osoba z zawiązanymi oczami ma za zadanie złapać lub dotknąć jednego z pozostałych graczy, aby ten przejął jej rolę. [przypis edytorski]

Więc tak:

Bezludna wyspa już jest wybrana. Słusznie gniewa się Maciuś, ale doprawdy prędzej nie można było. Król Orestes nie jest winien – on tylko przez grzeczność towarzyszył królowej. Chciał koniecznie przyjechać smutny król, ale Bum-Drum i młody król nie pozwolili. Bum-Drum jest teraz przyjacielem młodego króla. Papier z pieczęcią i podpisami królów jeszcze nie jest gotów. Kampanella przyjechała, żeby uspokoić Maciusia i powiedzieć, że o nim pamiętają, że niezadługo będzie mógł wyjechać. A tymczasem...

– ...Jeśli wasza królewska mość pozwoli, będę go<sup>6</sup> odwiedzała codziennie.

Zamiast odpowiedzi, Maciuś złożył pocałunek na ręce dobrej królowej.

– Niestety – powiedziała królowa – nie wolno mi przychodzić na dłużej niż na czternaście minut.

– Rozumiem: etykieta – szepnął Maciuś.

– Nie, regulamin więzienny...

Czy lepiej było teraz Maciusiowi, gdy przeniesiony do czystego pokoju miał prawo odbywać przechadzki w ogrodzie więziennym, codziennie odwiedzany przez królową – gdy spał na łóżku i spożywał posiłek z prywatnej kuchni naczelnika więzienia, siedząc na krześle przy stole?

---

<sup>6</sup> *Jeśli wasza królewska mość pozwoli, będę go odwiedzała codziennie* – zdanie w formie grzecznościowej: zaimek **go** oznacza tutaj Maciusia. [przypis edytorski]

Nie – było tak samo ciasno i tak samo boleśnie. Może i gorzej jeszcze. W dawnej celi – rozumiał, że czeka, że tymczasowe schronisko zmieniają mu na inne – na bezludnej wyspie. Teraz – nie czekał już na nic.

Bo cóż? Na bezludnej wyspie mieć będzie wszystko, co już dziś posiada. Jeśli nawet dadzą lepszy pokój i meble, ładniejszą przechadzkę nad morzem i więcej swobody – pozostanie na zawsze samotność i nuda.

Tak tęsknił do zegara. Myślał, że prędzej dzień przejdzie, jeśli będzie mógł wiedzieć, ile godzin dnia upłynęło. Złudzenie. Teraz widzi, jak powoli wloką się wskazówki, jak strasznie długo trwa godzina. Jak strasznie długo trwa taki jeden dzień więzienny.

– Maciusiu, czym mogę ci ulżyć? – pyta się królowa, gdy Maciuś chmurny chodził po pokoju z założonymi rękami.

– Czym? A czym żyje w pałacu królewskim mój kanarek?

Nie pamiętam, czy o tym mówiłem, że Maciuś miał kanarka w pięknej złotej klatce. Otrzymał go na imieniny i lubił. Ale kiedy go nazwano Maciusiem-kanarkiem w parlamencie, czuł jakby żal do niewinnego ptaszka. A teraz przypominał sobie i zapragnął mieć blisko. Choć jedno żywe stworzenie pragnął mieć nie na czternaście minut, ale na zawsze.

Kampanella nie odpowiedziała, bo surowo jej zabroniono udzielać Maciusiowi wiadomości, co się dzieje w kraju. Ale natychmiast po powrocie do domu wysłała urzędową depeszę do młodego króla:

Czy mam prawo donieść Maciusiowi o losach jego

kanarka i klatkę postawić w celi Maciusia? Raczy wasza królewska mość przypomnieć sobie, że na radzie mówiłam, jak bardzo dzieciom potrzebne są drzewa i ptaki.

Ta depesza bardzo rozgniewała króla.

– Najgorzej wdać się z babami – mruzczał młody król. – Dziś kanarek, jutro będzie pies, pojutrze znów coś nowego. A to cela wilgotna, a to ciemno – Maciuś zdenerwowany, Maciuś mizerny. Jak gdyby jedyną naszą troską było dbać o wygodę Maciusia.

I król odpowiedział, że pozwala, dodając w depeszy, że pragnie, aby to była już ostatnia prośba i ostatnie ustępstwo:

Tkliwe serce waszej królewskiej mości zechce się liczyć z wymaganiami korony.

Koronę nosi się na głowie, a w głowie jest rozum. W ten sposób król grzecznie dał do zrozumienia, że królowa jest dobra, ale niemądra i nie powinna zanadto dokuczać.

Nie wiedział Maciuś, stawiając coraz to nowe żądania, z jakim trudem królowa je spełnia, z jakim bólem odpowiada: „nie wolno – nie pozwolili”.

Gazet ani książek przynieść nie pozwolili. Wspominać o Bum-Drumie, Felku, Klu-Klu, smutnym królu nie pozwolili.

Miała królowa za swoje, kiedy Orestes poskarżył, że powiedziała o przyjaźni młodego króla z Bum-Drumem. Zapowiedziano surowo, że jeśli raz jeszcze z czymś się wygada, odwołana będzie natychmiast ze stolicy Maciusia, a miejsce jej zajmie już nie król żaden, ale zwyczajny gubernator Zatoki Kangura, znany z okrucieństwa i nieżyczliwie dla Maciusia

usposobiony.

– A oto twój kanarek, miły Maciusiu.

Królowa już dawno przestała nazywać Maciusia oficjalnie, a Maciuś sam nie wiedział, czy zwrócić uwagę, że jest przecie królem, czy udawać, że nie dostrzega.

– A oto jest fotografia twojej mamusi – powiedziała cichutko, cichutko Kampanella.

Maciuś nie spojrział nawet na fotografię swojej matki – położył ją na stole i zajął się kanarkiem. Zaczął oczyszczać klatkę, chociaż niepotrzebnie, zaczął nalewać wodę na podstawkę, choć wiedział, że podstawka jest za duża, nie zmieści się przez drzwiczki klatki. Potem zakładał między pręciki kawałek bułki, kostkę cukru. I ciągle spoglądał na zegar, kiedy już przejdzie czternaście minut i królowa zostawi go samego.

„Niech sobie już idzie” – myślał Maciuś.

Kampanella też spoglądała na zegar z niepokojem. Bo to już była jej ostatnia w więzieniu wizyta, bo musiała jechać na ostatnią naradę, żeby podpisać papier o zesłaniu Maciusia. A koniecznie chciała się jeszcze zapytać:

– Maciusiu, zanim pojedę, chcę ci coś powiedzieć. Nie wiem, czy to się uda. Ale będę się bardzo starała. Zostaw teraz kanarka – później to wszystko zrobisz.

Maciuś zmarszczył brwi.

– Słucham.

– Powiedz mi, ale szczerze powiedz; gdyby królowie pozwolili... Czy chcesz? Jestem sama jedna na świecie –

tak jak ty. Nie mam dzieci – nie mam nikogo – czy chcesz, żebym zastąpiła ci matkę?... Będziesz mieszkał w pomarańczowym ogrodzie w moim pięknym, ciepłym kraju, w dużym marmurowym pałacu. Uczynię wszystko, aby ci było dobrze. Z czasem królowie pewnie się przeproszą. A jak będę stara, ty będziesz duży, oddam ci tron i koronę. Znow będziesz królem.

Kampanella chciała objąć Maciusia i pocałować, ale Macius szybko się odsunął.

– Jestem królem – królem własnego kraju – obce trony i korony mi niepotrzebne – mam własne.

– Ależ, Maciusiu...

– Nie jestem Maciusiem, jestem królem w niewoli, a co mi zabrano, odbiorę.

Duży dzwon więzienny zadzwonił na znak, że upłynęło czternaście minut.

Macius zagryzł wargi. Serce mocno zaczęło stukać. Myśli – myśli – myśli.

– Królowo – mówi Macius – dziękuję ci. Byłaś dla mnie bardzo dobra. Nie mogę być niewdzięczny. I dlatego właśnie się nie zgadzam. Bo gdybym się zgodził, miałabyś zmartwienie.

– Dlaczego?

– Bo ja bym – uciekł. I ucieknę, z pewnością ucieknę. Niech oni się mnie strzegą. Niech mnie dobrze pilnują!

Znow uderzył dzwon więzienny.

Macius już zupełnie spokojnie dokończył:

– Wasza królewska mość, dopóki mnie więżą przemocą – jestem wolny, mogę robić, co chcę, wolno mi się bronić. Gdybym się zgodził zostać twoim synem, byłbym już niewolnikiem na zawsze.

Po raz trzeci uderzył dzwon więzienny. Królowa wyszła.

Uciec!

Dziwi się Maciuś, że tak późno, że dopiero teraz pomyślał o tym poważnie. Przelatywała mu myśl przez głowę od czasu do czasu. To jakby się pytał sam siebie: czy mi się uda, czy potrafię, dokąd ucieknę i po co? Dopiero teraz, kiedy królowa pozwoliła wybrać to najlepsze, czego się mógł w niewoli spodziewać – Maciuś postanowił, raz na zawsze, nieodwołalnie.

Czy się uda, czy nie, czy ma, czy nie ma dokąd uciec, czy jest, czy nie ma po co uciekać – on musi, musi uciec. Już teraz nie będzie się nudził, nie będzie co chwila spoglądał na zegar. Będzie miał strasznie dużo pracy. Musi dokładnie obejrzeć ogród więzienny, każdy załamek muru, każde przy murze drzewko. Musi godzinami całymi układać, od czego zacząć, gdy się już znajdzie poza murem. Trzeba obmyślić dokładnie, w co się przebierze, co weźmie na drogę. Musi mieć sznur – jak go zdobyć?

Ani zauważył Maciuś, jak wieczór zapadł, zapaliło się światło – i zaśpiewał kanarek.

Zbliżył się Maciuś do klatki – ptaszek umilkł na chwilę przestraszony, ale po chwili jeszcze głośniejszy i piękniejszy zaśpiewał.

I padł wzrok Maciusia na fotografię matki.

„Mamo moja, widzisz; Kampanella chciała ci zabrać Maciusia. Zabrali tron, zabrali koronę, a teraz chcieli i mnie zrabować. Nie zostawię ciebie, mateczko, w więzieniu; razem uciekniemy. Nie bój się: ja ciebie obronię.”

Wyjął Maciuś fotografię z kosztownej, drogimi perłami wysadzonej ramy, ucałował tkliwie, włożył do bocznej kieszonki na sercu i spytał się z uśmiechem:

– Prawda, że lepiej ci teraz, mateńko?

Kanarek wesoło zaśpiewał.

– No i cóż? – zapytał się król Orestes.

– Maciuś jest strasznie zdenerwowany – odpowiedziała wymijająco królowa.

Za to na pierwszym zaraz posiedzeniu królów zabrała głos w sprawie Maciusia:

– Królowie, nie podpisujcie tego papieru. Nie można porównywać Maciusia ani z Napoleonem, ani z żadnym królem dorosłym. Chociaż nie mam dzieci, odgaduję dziecko sercem macierzyńskim. Maciuś jest nerwowy. On ma dobre serce.

– Zaczyna się – mruknął młody król do Bum-Druma.

– Żebyście widzieli, jak go ucieszył kanarek, jak zaczął dawać wodę, bułkę, cukier. Dzieci są lekkomyślne i niedoświadczone...

Królowa Kampanella widziała, że wszyscy się niecierpliwiają, ziewają, zapalają papierosy, wzdychają. Ale królowa mówiła, mówiła. Już stary król Alfons Brodaty zasnął w fotelu, już blady król Mitra Bengalski zażył proszek od bólu głowy – gdy wreszcie

Kampanella wyjaśniła, o co jej chodzi:

– Dajcie mi Maciusia.

– Będziemy głosowali – prędko powiedział król, przyjaciel złotych.

– Dobrze – zgodzili się wszyscy.

– Jeszcze chwilkę – błaga Kampanella – zapomniałam dodać...

– Zróbmy małą przerwę – zaproponował Orestes.

– Dobrze. Napijemy się herbaty.

– Zjemy kolację.

Pocziwa Kampanella sama dolewa królom najlepszych win i likierów. Każdego króla osobno pyta się, co lubi... Lokaje<sup>7</sup> na rowerach zwożą z najdroższych restauracji najlepsze jedzenia. Często gości cygarami. Owoce, lody, jakie tylko są na świecie: śmietankowe, waniliowe, malinowe. Torty. Miód, sorbet turecki, orzechy w cukrze, irysy, chleb świętojański, sery szwajcarskie, portery angielskie.

– Brakowało tylko kolońskiej wody i perskiego proszku<sup>8</sup> – powiedział nazajutrz znany żartowniś, król Migdał Angorski.

Rozumie się, głosowanie odłożono. Bo choć królowie mogą jeść i pić, ile chcą, ale tym razem wypili wyjątkowo wiele.

Kiedy nazajutrz postanowiono, że głosowanie odbędzie się nie

---

<sup>7</sup> *lokaj* – służący. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *perski proszek* – substancja służąca dawniej do zwalczania owadów, zwłaszcza pcheł, uzyskiwana z wysuszonej i sproszkowanej rośliny, zwanej wcześniej złocieniem dalmatyńskim, a dziś raczej wrotyczem dalmatyńskim (łac. *Pyrethrum cinerariaefolium* a. *Tanacetum cinerariifolium*). [przypis edytorski]

u Kampanelli, ale w uroczej zacisznej wiosce rybackiej, królowa domyśliła się, że się nie zgodzą. Bo nie wypadało być w gościnie i odmówić prośbie gospodyni.

I tak właśnie się stało.

– Dwanaście plusów, cztery minusy.

Maciuś pojedzie na bezludną wyspę.

– Proszę podpisać.

Kampanella podpisała się ostatnia – i bez pożegnania pierwsza wyjechała.

„Żeby nie wiem co, muszę uratować to biedne dziecko” – postanowiła królowa.

A Maciuś nie na żarty gotował się do ucieczki.

Mur więziennego ogrodu był stary i obrośnięty dzikim winem. Maciuś zaczął wynosić klatkę z kanarkiem i bawił się przy murze w Robinsona. Pajacyk był Piętaszkiem, kanarek był papugą i Maciuś na korze drzewa robił co dzień jeden znaczek, tak jak Robinson.

Widzą żołnierze, że mały więzień zupełnie się uspokoił i bawi się dziecinnie, więc mniej go teraz pilnują. Dawniej na podwórku musieli chodzić za nim krok w krok, bo okno kancelarii wychodziło na podwórze i naczelnik więzienia patrzył na żołnierzy; a teraz w ogrodzie mogli robić, co chcieli. A przecież przyjemniej gawędzić niż chodzić z karabinem i nic nie mówić.

A Maciuś zauważył, że jedna cegła muru się rusza. Zaczyna majstrować – w prawo, w lewo, stare wapno się kruszy, ale nic nie

widać, bo dzięki wino zastania. Nie wyjął Maciuś cegły, tylko zaczął drugą cegłę dłubać. Bolał go palec, ścierają się paznokcie, ale na nic nie zważa, aby prędzej skończyć. Tak przed obiadem już cztery cegły były gotowe, a po obiedzie dwie.

„Jeśli tak pójdzie dalej, za trzy dni będę wolny.”

Wyjąć cegły może, ale gdzie je położyć? Chodzi po ogrodzie i szuka łopaty.

– Dlaczego się nie bawisz w Robinsona? – pyta się starszy żołnierz straży.

Żołnierze przestali go nazywać królewską mością, a Maciuś się nie obraża, przestał być taki dumny jak dawniej.

– Przyzwyczai się dzieciak po troszku. Dobra jest nawet zabawa w Robinsona, bo nieznacznie przejdzie od zabawy do prawdy.

– Może i za surowo z nim postępują królowie?

– Dlaczego się nie bawisz, Maciusiu?

– Chcę wykopać piwniczkę – mówi Maciuś – a nie mam łopaty. Bez piwnicy bardzo mi jest niewygodnie, bo jak upoluję zwierzynę, nie mam jej gdzie położyć.

Dali Maciusiowi łopatę, nawet pomogli kopać. Kiedy już dół był dość duży, Maciuś włożył cegły i przysypał piaskiem. Ale jeden ze straży widział.

– A ty skąd masz cegły?

– Znalazłem w ogrodzie, o tam, koło altanki. Mogę pana żołnierza zaprowadzić.

Wziął go za rękę, a po drodze zaczyna opowiadać o wojnie, o

ludożercach – aż ten zupełnie zapomniał.

I jeszcze drugi raz groziło niebezpieczeństwo, kiedy naczelnik więzienia urządził nagłą rewizję.

– Naczelnik idzie! – krzyknął przez okno wartownik korytarza.

Zerwali się żołnierze na równe nogi, rzucili papierosy, chwycili karabiny. Maciuś stanął między nimi, spuścił głowę, idzie. Ale już nie zdążyli ustawić się, jak należy.

– Dlaczego z przodu idzie dwóch, a z tyłu czterech? Czy nie znacie regulaminu? A to co za klatka?

I naczelnik uderzył laską w dzikie wino, gdzie stała klatka.

Zimny pot wystąpił Maciusiowi na czoło, bo wyraźnie zobaczył otwór w murze. Naczelnik więzienia był wysoki, więc patrzył z góry i dlatego nie zauważył.

– A to co za podkop? – wskazał na piwnicę.

– To spiżarnia Robinsona Kruzoe – powiedział Maciuś.

– Więc daję dzień aresztu za to, że chodzicie nie tak, jak należy, dzień aresztu za to, że pozwalacie kopać doły więźniowi numer dwieście jedenasty.

Ale naczelnik więzienia tylko naumyślnie straszył. Wiedział, że przebaczy. Bo nie warto zaczynać: jeszcze się poskarży Maciuś królowej, a królowa dała dużo prezentów i obiecała przysłać żonie brylantową broszkę, jeżeli będzie dobry dla więźnia. Zresztą Maciuś niedługo pojedzie – oby jak najprędzej.

Tyle tylko było nieprzyjemnie, że żołnierze kazali zasypać spiżarnię, gdzie Maciuś składał jedzenie na drogę. Z każdej

porcji zjadał Maciuś połowę, a drugą w tajemnicy przynosił do piwnicy.

Szybko upływały Maciusiowi godziny. Ciągłe musiał udawać zabawę. Zbierał żołądźce, patyki, robił ogródek koło muru, niby parkan, niby domki z piasku. A tylko patrzy, gdzie żołnierze, czy blisko, czy widzą. Robota szła teraz wolniej, bo wyjęte cegły musiał Maciuś ukrywać pod marynarką, odnosił na drugi koniec ogrodu i wrzucał przez małe okienko od piwniczki pod altanę. Ażeby nie było słychać, spuszczał je na sznurku.

Mur był gruby. Ale niecierpliwic się nie wolno. Najdrobniejsza nieostrożność – i cała praca może pójść na marne. A praca była ciężka. Palce coraz więcej bolały, bo paznokcie od skrobania się pościerały, sporo było zadrapań na całej ręce. Skórka koło paznokci się poobrywała – i nieznośnie bolała i piekła.

Ale za to co za radość, co za szczęście, kiedy ustąpiła ostatnia cegła – i ręka wysunęła się poza mur. Byle się nie zdradzić, byle się coś nieprzewidzianego nie stało.

A oto się stało. Kiedy Maciuś trzyma tak rękę za murem na wolności, przelatuje pies z tamtej strony. I cap Maciusia za rękę zębami. Syknął Maciuś z bólu, ale nic, udaje, że tak tylko majstruje koło dzikiego wina. Nawet nie wiadomo, czy pies sam biegnie. Bo jeśli idzie i człowiek, zauważy rękę Maciusia za murem, zaraz się domyśli i da znać dozorowi więzienia.

Pies szczeknął, Maciuś wyrwał zakrwawioną rękę i schował do kieszeni.

– Co ty tam robisz? – zapytali się żołnierze, którzy grali w karty.

– Daję kanarkowi sałatę – odpowiada Maciuś, siląc się na spokój.

– Głupiś, zdechnie ten twój kanarek.

I grają dalej.

Nagle Maciuś zrozumiał, że dłużej nie może odkładać ucieczki. Otwór widać teraz od ulicy. Nawet dobrze, że pies zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo. Żołnierze kilka razy zauważyli, że Maciuś jest jakiś zmieszany, i częściej teraz pytają:

– Co ty tam robisz?

We wtorek przyjdzie sanitariusz więzienny obcinać paznokcie i zdziwi się, że Maciuś ma ręce podrapane. Jak wytłumaczy skaleczenia? Teraz dopiero zrozumiał Maciuś, jak trudno liczyć na powodzenie, ile trudności i niebezpieczeństw go czeka. Ale zamiast zniechęcić, jeszcze bardziej rozpala się w Maciusiu niecierpliwość.

„Dziś w nocy!” – postanawia.

Więc dobrze. Zjadł kolację, rozebrał się, położył bardzo wcześnie: głowa go boli. Zostawił otwarty lufcik: bo mu gorąco. Nakrył się kołdrą na głowę i czeka na zmianę warty nocnej...

Nagle otwierają się drzwi. Wchodzi naczelnik więzienia, wchodzi delegat rady królewskiej.

– Wasza królewska mość raczy się pakować. Za godzinę wyrusza pociąg na wyspę bezludną. A oto papier z pieczęcią i podpisami królów.

Maciuś wstaje z łóżka, zaczyna się ubierać.

„Dziś w nocy ucieknę – myśli Maciuś, układając do kufra rzeczy. – Nie w ten sposób, to w inny.”

Cała praca Maciusia się zmarnowała. Otwór w murze jest gotów, ale cóż z tego? Już Maciuś do ogrodu więcej nie pójdzie. Każdy inny byłby rozpaczał i stracił nadzieję. Tak, każdy inny, ale nie on. Maciuś czuł, że najważniejsze – postanowić, a reszta głupstwo. Maciuś uważał nawet, że dla ucieczki, która nastąpi w drodze, praca przy wyjmowaniu cegieł nie jest bez znaczenia. Nauczył się spokoju, rozwagi, ostrożności – nie wiedział dobrze, jak to się nazywa. Zdawało mu się, że najważniejsze, żeby w sobie, w głowie, w sercu, w duszy – było wszystko gotowe. A reszta – no, zobaczymy.

Dlatego się Maciuś nie martwił.

Pakowanie rzeczy nie trwało długo. Naczelnik więzienia był cały czas w pokoju, a kiedy samochód zajechał, prosił Maciusia o zaświadczenie, że się Maciuś na niego nie gniewa.

– Waszej królewskiej mości nic nie szkodzi, a mnie się może przydać.

– Dobrze.

Przyniesiono kałamarz, pióro i papier.

Zaświadczam – pisze Maciuś – że nie mam żalu do naczelnika więzienia, bo robił, co do niego należało. Kiedy przed wojną aresztowałem ministrów, pilnował ministrów, bo tak rozkazałem. Po wojnie pilnował więźnia numer

dwieście jedenasty, bo taki był rozkaz królów zwycięzców. Słukłem porcelanową wazę, a on się nie mścił. Życzę, aby nadal robił swoje; ja też zrobię swoje.

*Król Maciuś Pierwszy*

Jeszcze delegat podpisał w księdze więziennej pokwitowanie, że odebrał Maciusia. Siedli i pojechali.

Maciuś ciekawie patrzy przez okno samochodu na swoją stolicę. Akurat skończyło się przedstawienie i ludzie wracali z teatru. Nikt nie wiedział, że w samochodzie jedzie Maciuś, bo ważnych więźniów zawsze wiozą w nocy i w tajemnicy. Z teatru szli wszyscy dorośli, ani jednego dziecka.

„Dzieciaki zapędzili spać, a sami się bawią” – pomyślał Maciuś gniewnie.

Obok siedzi delegat królów i drzemie.

„Otworzę drzwiczki i wyskoczę”.

Nie, na nic. Łatwiej byłoby ukryć się między dziećmi niż teraz, kiedy na ulicach są tylko dorośli; latarnie się palą, a na każdym rogu stoi milicjant<sup>9</sup>.

---

<sup>9</sup> *milicjant* – formacja, która pilnuje porządku w kraju Maciusia, nosi nazwę policji, ale jej funkcjonariuszy autor nazywa często milicjantami. **Milicja** i **policja** to wyrazy bliskoznaczne, oba oznaczają zorganizowaną grupę ludzi przygotowanych do walki, których obowiązkiem jest pilnować porządku i zapewniać spokój w społeczności, np. w mieście czy w państwie. Nazwa **policja** pochodzi od łac. *politia* i gr. *politeia*, a te słowa oznaczały pierwotnie sztukę zarządzania miastem, utrzymywania porządku w mieście, zaś **milicja** wywodzi się od łac. *militia*, co znaczyło: służba wojskowa. W Polsce przed II wojną światową używano obu tych słów, w latach 1944–1990 stróżów prawa nazywano oficjalnie Milicją Obywatelską, a potem przywrócono nazwę Policja. [przypis edytorski]

I na dworcu kolei nic się zrobić nie dało. Delegat królów wziął Maciusia za rękę, prędko przeprowadził przez poczekalnię – i prosto do wagonu pierwszej klasy pociągu, który za pięć minut ma ruszyć za granicę. Kufer postawiono koło okna, na kufrze klatkę z kanarkiem.

– No, będziemy spali.

Czy on naprawdę taki śpioch, czy tylko udaje?

Nie, pułkownik Dormesko<sup>10</sup> nie udawał. Był to znany, sławny nawet, śpioch czwartej dywizji ciężkiej artylerii. Już jako uczeń drugiego oddziału<sup>11</sup> szkoły powszechnej<sup>12</sup> spał często na lekcjach. Ale że nie chrapał wcale, a spał cichutko, więc nie przeszkadzał i nauczycielka była z niego zadowolona. Dyktanda pisał dobrze, z czytania miał czwórkę z plusem, na arytmetyce spał. Żartowali z niego koledzy, ale Dormesko się nie obrażał. Lubili go bardzo wszyscy. Raz zasnął na lekcji religii, ale ksiądz się nie gniewał:

– Kto śpi, ten nie grzeszy<sup>13</sup>.

I Dormesko zadowolony był, że nie ma grzechów. I dobrze mu się wiodło.

Raz zasnął na przyrodzie. Nauczyciel był bardzo surowy. Na lekcji musiało być cicho jak makiem zasiał. Nauczyciel wykłada – mówi – mówi, a jemu oczy się kleją.

---

<sup>10</sup> *Dormesko* – nazwisko znaczące, utworzone od czas. oznaczającego spanie w językach romańskich: fr. i hiszp. *dormir*, wł. *dormire*. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *oddział* (tu daw.) – klasa. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *szkoła powszechna* – dziś: szkoła podstawowa. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *Kto śpi, ten nie grzeszy* (łac. *Qui dormit, non peccat*) – fragment żartobliwego powiedzenia popularnego w średniowieczu. [przypis edytorski]

– Powtórz, Dormesko.

– On śpi, proszę pana.

Pchnął go łokciem sąsiad. Dormesko oczy przeciera – wstaje.

– Co ci się śniło? – pyta się nauczyciel.

– Śniło mi się takie duże, duże mrowisko.

Klasa w śmiech, a nauczyciel mówi:

– Całe szczęście, że ci się śniła przyroda, bo inaczej dostałbyś pałkę.

Kiedy Dormesko miał lat szesnaście, w domu rodziców byli goście – i jeden stary kapitan powiedział:

– Najważniejsze jest w życiu zamiłowanie. Lubisz malować, zostań malarzem. Lubisz śpiewać, zostań śpiewakiem. W służbie wojskowej najważniejsza jest karność, posłuszeństwo.

– No tak – powiedział z żalem ojciec – ale co będzie z chłopca, który tylko spać lubi?

– Wierzej<sup>14</sup> mi pan, jeżeli chłopiec naprawdę z zamiłowania, z całej duszy jest śpiochem, na pewno zrobi karierę. Grunt – to zamiłowanie.

I Dormesko wstąpił do szkoły wojskowej. I jako młody oficer wzbudzał ogólny podziw swoją odwagą. Do ataku się nie nadawał, za to jedyny w obronie.

– Stać – daję mu rozkaz. – Ani kroku naprzód, ani kroku w tył.

Dormesko okopie się ze swym oddziałem i niech się tam wali i pali – nie ruszy się z miejsca – trwa.

---

<sup>14</sup> *wierzaj* – dziś popr. forma 2 os. lp tr. rozkaz.: *wierz. wierzaj mi pan* – dziś popr. forma grzecznościowa: *proszę mi wierzyć a. niech mi pan wierzy.* [przypis edytorski]

– Nie boisz się? – pytają się koledzy.

– A czego? Każdy musi umrzeć. Żona po mnie płakać nie będzie.

Dormesko był starym kawalerem i nie lubił dzieci.

– Hałasują, krzyczą, tupią, wariactwa im się w głowach trzymają. Spać nie dają. Małe w nocy piszczą, starsze w dzień dokuczają.

Chętnie odwiedzał kolegów oficerów, ale omijał starannie rodziny, gdzie były dzieci. Więc łatwo się domyślić, dlaczego właśnie jego wybrano, żeby odprowadził Maciusia. I któż był odpowiedniejszy? Wojskowy, pułkownik, w dodatku wróg dzieci: niech jedzie.

Pułkownikiem został Dormesko za mężną obronę Czwartego Fortu Śmierci. Był to najważniejszy fort całej fortecy. Czterdzieści sześć ataków wytrzymał Dormesko, ale się nie poddał. Prochu dali mu dosyć, bo przewidywali, że nieprzyjaciel zechce zdobyć ten klucz fortecy. Dormesko wydał rozkaz: „Strzelać dzień i noc, bez wytchnienia” – i basta. Bo wiedzieć należy, że tylko wtedy hałas przeszkadza, kiedy jest nagły, wśród ciszy; a wcale nie przeszkadza, jeśli jest bodaj głośny, a ciągły, bez przerwy.

Żołnierze strzelają, a Dormesko śpi. Aż przyszła odsiecz, a z nią zwycięstwo.

– Zawołać walecznego obrońcę Fortu Śmierci – rozkazał głównodowodzący.

– Nie można. Zabronił budzić – mówi trochę głupi ordynans.

Dormesko został pułkownikiem, przeniesiono go do ciężkiej artylerii fortecznego garnizonu – i leży sobie teraz na kanapie – śpi i pogwizduje przez sen.

– Fiu-sss, fiu-sss, fiu-sss!

„Popfiufasz ty” – myśli Maciuś. Przysunął się bliżej drzwi i po troszku otwiera.

Żle – na korytarzu stoi żołnierz na warcie. Zasuwał drzwi, sam na palcach do okna. Okno bez kraty. Bardzo przyjemne są okna bez krat żelaznych. Ale jak się otwiera? Na dole wisi mocny, skórzany pas – nie wie Maciuś, po co, ale dobrze – może się przydać. W górze okna też jakaś skórka. Nakrył Maciuś rącznikiem klatkę z kanarkiem, żeby ptak nie śpiewał, zdjął klatkę z kufra, postawił na ziemi, sam wlaź na kufer – majstruje. Ciągnie na dół, nie idzie, pcha w górę, trochę się podniosło, potem ani rusz. Jeśli stłucze szybę, może się pułkownik obudzić. Aha, prawda – już wie – już sobie przypomniał. Już raz otwierano przy nim okno wagonu, ale nie obchodziło go wcale. Nie przypuszczał, że może się przydać. Nie wiedział wtedy, że każda wiadomość może przynieść w życiu pożytek.

Pchnął okno trochę w górę, pociągnął do siebie i spuszcza. Pociąg głośno stuka na szynach. Wyjrzał, czy wysoko: czy można wyskoczyć. Głupstwo – wyskoczy. Trzeba zaczekać na stację.

Ale co potem? Pieniądzy nie ma. Gdyby nawet wrócił do stolicy, musi mieć bodaj trochę jedzenia. Już wie. Przypomniał sobie. Ukryje się u zwrotniczego. Jak dobrze, że go odwiedził, wracając ze zwycięskiej wojny. Poczciwa żona zwrotniczego z

pewnością go nie zdradzi.

Zamknął Maciuś okno, bo pułkownik dwa razy się niespokojnie poruszył: widocznie chłodny pęd powietrza go ziębi, bo szczelniej się owinał, płaszcz nasunął na głowę. Tak nawet lepiej.

O, jak nieznośnie wloką się minuty. Maciuś boi się, żeby nie przegapić stacji. A może nie czekać. I byłby Maciuś zaraz wyskoczył, ale przypomniał sobie ciężkie pochody wojenne. Wprawdzie nie chce mu się spać, ale co będzie, jeśli go sen zmorzy nad ranem?

Dwa małe przystanki, stacja, nie, nie ta, znów przystanek. Wreszcie jest jego stacja! Otworzyć okno, wyskoczyć – było dziełem chwili. Już biegnie, już widzi w ciemności migocące z dala okno zwrotniczego. Biegnie, aż mu dech zamarł w piersi.

Jest wolny!

Ukrył się w komórce i czeka, czy nie będzie popłochu. Może ktoś widział, może zarządzą pościg? Nie – pociąg rusza spokojnie w dalszą drogę.

– Życzę, aby naczelnik więzienia robił swoje, a ja też zrobię swoje – powtórzył Maciuś wesoło ostatnie słowa danego zaświadczenia.

A pułkownik Dormesko obudził się już na samej granicy. Patrzy: okno otwarte, klatka na podłodze, a Maciusia nie ma.

„Uciekł Maciuś. Ładna historia. Mam rozkaz odwieźć Maciusia na bezludną wyspę. Jakże go odwiozę? Kazałem mu przecież spać. Pierwszy raz się zdarza, żeby ktoś się ośmielił nie

spełnić mojego rozkazu. Co robić? Kazać strzelać? Z czego? Nie mam ani jednej armaty. Zresztą w co celować? I jakże znowu strzelać bez rozkazu?”

Pułkownik Dormesko wyjął papier z portfelu<sup>15</sup> i czyta:

Niezwłocznie po otrzymaniu tego pisma winien pułkownik Dormesko oddać dowództwo nad armatami kapitanowi Dolce far Niente<sup>16</sup>, sam uda się do stolicy Maciusia, by go wraz z rzeczami przewieźć na bezludną wyspę. Władze lądowe i morskie winny okazać mu pomoc. O wypełnieniu rozkazu złożyć po powrocie raport.

Ano, odwiozę kanarka i kufer na wyspę i złożę raport.

Westchnął, podrapał się w głowę, zamknął okno, przykrył się płaszczem – i śpi. A pociąg jedzie.

Trzy dni spędził Maciuś pod gościnnym dachem pocziwego zwrotniczego. Maciuś tak myślał:

„Zobaczą, żem uciekł, będą mnie szukali. Będą gonili, nikomu nie przyjdzie do głowy, że siedzę spokojnie pod samym nosem.”

Kiedy wybuchła pierwsza wojna Maciusia, zwrotniczy wykopał pod obórką dół, żeby w razie niebezpieczeństwa mógł się tam ukryć.

---

<sup>15</sup> *portfelu* – dziś popr. forma D. lp.: portfela; *portfel* (z fr. *portfeuille*: portfel, daw. także: teczka na dokumenty) – tu: teczka na dokumenty. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *Dolce far Niente* (wł.) – tu: nazwisko znaczące, utworzone z wł. powiedzenia *dolce far niente*, opisującego słodkie lenistwo, miłe nicnierobienie. [przypis edytorski]

Tam schowa się Maciuś w razie rewizji.

Tymczasem cicho.

Wstąpił, przechodząc, woźny stacji i mówi:

– Jakiegoś więźnia wczorajszym nocnym pociągiem wieźli.

Widziałem w korytarzu wagonu żołnierza.

– Może to był ordynans oficera? – mówi zwrotniczowa.

– Ee, nie, stał z karabinem.

– Może to jaki zagraniczny poseł?

– A może.

Zwrotniczowa woli być ostrożna; bo czasem szukają zbiega głośno, otwarcie, a czasem po kryjomu. Woźny był dobrym znajomym, ale zawsze – kto wie, co w sercu się kryje.

– Och, najjaśniejszy królu – mówi zwrotniczowa. – Jak nam teraz źle bez naszego króla. Kto chce, to rządzi. Do rozkazywania każdy, a pensji płacić nie chcą. Przed samą wojną już się zaczęły te nowe rządy. Kazali dzieciom prowadzić maszyny, niby że starzy będą chodzić do szkoły. A jeszcze mówią, że tak król Maciuś kazał. I byli głupcy, którzy uwierzyli. Ja tam zawsze mówiłam: „Coś się złego zaczyna”. Pozazdrościli sierocie. Za jego rządów więcej było czekolady niż teraz chleba. Czy też znów się odmieni? Ja ufam Maciusiowi i czekam.

Chodzi Maciuś po izbie, ręce w tył założył, brwi zmarszczył.

Dość tego. Siedzi tu, nic nie robi, biednych ludzi objada. Czas w drogę.

Chcą go jeszcze zatrzymać. Nie. I tak się nic nie dowie, dopóki nie wróci do stolicy. Przyniósł zwrotniczy od kumów

stare, biedne ubranko. Przebrał się Maciuś, wziął kromkę chleba (sera wziąć nie chciał) – i tyle tylko pieniędzy, ile potrzeba na bilet do sąsiedniej stacji. Bo na tej stacji boi się Maciuś bilet kupować.

Spokojnie przeszedł piętnaście wiorst<sup>17</sup>, nikt w drodze go nie zaczepił. Bez żadnej przygody kupił bilet trzeciej klasy i nad wieczorem był już w stolicy. Nasunął dla pewności czapkę na oczy – idzie.

– Ej, chłopak, masz czas? Zaniesiesz mi worek – zapłacę.

Najchętniej w świecie. Taki zapach bije od worka, aż Maciusiowi ślinka idzie do ust. W worku były kiełbasy, serdelki, parówki, słonina.

– Teraz przyjechałeś?

– Teraz. Właśnie – wczoraj.

– Znasz miasto?

– Trochę znam. Nie, nie znam: wczoraj przyjechałem.

– A z daleka jedziesz?

– Nie, tylko trochę. Rozumie się: z bardzo daleka.

– No prędzej, prędzej.

Pogania, a Maciusiowi ręce mdleją, w głowie się kołuje. Już szli dużo drogi, Maciuś raz w raz przystaje.

– Słuchaj no, kawalerze. Jeżeli ci się zdaje, że mi umkniesz z workiem, to się grubo mylisz. Ja nie wiejski, znam was, co to przyjechali i dzisiaj, i wczoraj, z daleka i z bliska, kręcą się koło dworca i niby paczki odnoszą. A tylko patrzą, na którym rogu

---

<sup>17</sup> wiorsta – daw. jednostka odległości, ok. 1 km. [przypis edytorski]

prysnąć w ciemnościach. Poznaje was po czapce nasuniętej na oczy. Nie od razu wędliniarnię otworzyłem. Dwa lata służyłem w policji. Ruszaj, a żwawo.

Jęknął Maciuś głucho, nic nie odpowiada, niesie swój ciężar, ręce zdrętwiały, nogi same niosą.

– Ej, panie Michale... Nowina!

Zatrzymał ich milicjant<sup>18</sup>.

– Skąd Bóg prowadzi?

– Z towarem. A co za nowina?

– Króla Maciusia wywieźli. Tylko ani słowa, rozumiesz, bo tajemnica służbowa. Mówię jak koledze.

– I jakże? Nie ogłosili?

– Boją się buntów. Ooch, żałują ludzie Maciusia. I dorośli, i dzieci. Za późno! Nie trzeba było wywieszać białych chorągwi.

Maciuś położył worek i słuca.

– Żeby tak Maciuś jeszcze z pięć lat pokrółował, to byś pan złoto niósł w worku, a nie kielbasę.

– A skąd wiecie, że go wywieźli?

---

<sup>18</sup> *milicjant* – formacja, która pilnuje porządku w kraju Maciusia, nosi nazwę policji, ale jej funkcjonariuszy autor nazywa często milicjantami. **Milicja** i **policja** to wyrazy bliskoznaczne, oba oznaczają zorganizowaną grupę ludzi przygotowanych do walki, których obowiązkiem jest pilnować porządku i zapewniać spokój w społeczności, np. w mieście czy w państwie. Nazwa **policja** pochodzi od łac. *politia* i gr. *politeia*, a te słowa oznaczały pierwotnie sztukę zarządzania miastem, utrzymywania porządku w mieście, zaś **milicja** wywodzi się od łac. *militia*, co znaczyło: służba wojskowa. W Polsce przed II wojną światową używano obu tych słów, w latach 1944–1990 stróżów prawa nazywano oficjalnie Milicją Obywatelską, a potem przywrócono nazwę Policja. [przypis edytorski]

– Mówił strażnik więzienny. Klu-Klu mają odebrać do ojca, tego jak go tam – Bum-Druma. Podobno smutny król chce złożyć koronę i dobrowolnie wyjechać na bezludną wyspę. A ty czego uszami strzyżesz? – zwrócił się nagle i ostro do Maciusia.

– To mój chłopak: worek mi niesie.

– No to idźcie. Jutro po nocnej stójce mam cały dzień wolny, to was odwiedzę. Oj, szkoda Maciusia.

– Poczekaj: na mój rozum, jeszcze nie skończone. Jeszcze Maciuś wróci.

– Byle już głupstw nie robił.

– No, chłopak, ruszamy.

Kielbaśnik pomógł dźwignąć worek na plecy. Stała się rzecz dziwna: ani Maciuś zmęczony, ani worek ciężki. Idzie rażno, jakby miał skrzydła.

Wie prawie wszystko. Jedno go tylko dziwi: dlaczego nie szukają, dlaczego nie wiedzą, że uciekł?

– Stójże, do licha. Patrzcie, jak się rozbrykał. Jeszcze ci za blisko? Jazda do bramy.

Z bramy dwa schodki prowadzą do mieszkania przy sklepie. Wszedł Maciuś na schodek i byłby spadł, gdyby go ten nie podtrzymał. Aż się przestraszył, taki Maciuś blady. Oparł się o drzwi, oczy przymknął, drży cały.

– Co ci się stało?

– Głodny jestem – szepnął Maciuś i zemdłał.

Już w więzieniu jadł Maciuś mało, bo połowę porcji chował na drogę. U zwrotniczego jadł mało, bo przykro mu było

za darmo jeść u biedaków. Potem piętnaście wiorst pieszo o kromce chleba, a teraz worek pachnący mięsem. Dorosły by nie wytrzymał. A jeszcze niepewność, obawa pościgu, nagła wiadomość, że kraj o nim pamięta, ufa i – czeka.

Położyli Maciusia na kanapie.

– Napij się mleka.

Rozpina kielbaśnik marynarkę Maciusia, trochę, żeby łatwiej było oddychać, a po trochu – tak już z policyjnego zwyczaju: paszportu szuka. Zembrze jeszcze chłopak bez żadnych papierów, a potem kram. Namacał fotografię – patrzy: nieboszczka królowa. I nic więcej.

– Ej, mały, napij się mleka. No, otwórz oczy!

Zahartowany na wojnie, prędko przyszedł Maciuś do siebie. Zawstydził się, a po troszku przestraszył, czy w zemdleniu się z czym nie wygadał. Bo tak jakoś dziwnie na niego patrzą.

– Jak się nazywasz?

– Janek.

– Więc słuchaj, Janek. Widzę, żeś delikatny. Ręce masz białe, chociaż podrapane, i paznokcie starte. Kłamać bardzo nie umiesz – to poznać. Głupio mi tam przy stacji kręciłeś. Głodny jesteś, zmizerowany, chociaż chłopak silny. Papierów żadnych nie masz, tylko fotografię królowej. Co to wszystko znaczy?

– Duszno mi – mówi Maciuś – niech pan otworzy okno.

Pije Maciuś mleko, bułkę zajada; siła w niego wstępuje. Ale znów oczy przymyka; udaje osłabionego, zerka w stronę okna. Bo gdyby co, będzie uciekał.

– Daj mu teraz spokój – powiada żona. – Widzisz przecie: dzieciak ledwo zipie. Niech się wyśpi. Masz czas jutro przepytać.

– Nie, moja kochana. Ja dwa lata w policji służyłem. Już ty mnie nie ucz. Niech on mi tylko powie...

– Ja ci powiem: stul gębę, rozumiesz? W policji służył, niedołęga. A dlaczego nie służysz? Bo cię wygnali. Inni się majątków dorobili, a ty co? Do śmierci będziesz kiełbasą handlował. No, ruszaj się: pokaż, co przywiozłeś.

I zaczęli wyjmować z worka, a Maciuś oparł się o stół – zasnął.

– Wstydziłbyś się, chamie, taki ciężki worek na dzieciaka ładować. A jeszcze się Janek nazywa.

Janek był jej synem, którego najwięcej kochała. Zginął w ostatniej wojnie.

– Pocziwe musi być dziecko, kiedy fotografię królowej chowa. Żeby był łobuz, to by na pewno miał fotografię Maciusia.

Czujnie spał Maciuś. Przez sen usłyszał swe imię – zbudził się słucha.

– Już nie będziesz miała Maciusia – mówi mąż. – Już wywieźli na bezludną wyspę.

– Szkoda, że wcześniej tego nie zrobili. Byłby nasz Janek nie ginął. Och, ten Maciuś, gdybym go w swoje ręce dostała...

– Mądry był to król, waleczny, odważny.

– Przestaniesz?

– Nie przestanę. I co mi zrobisz?

– Ot, co ci zrobię.

I jak nie trzaśnie go przez łeb kiełbasą, aż się na dwoje

złamała.

Jak widać, małżeństwo nie żyło w zgodzie. I tak było wszędzie, jak mąż lubił Maciusia, żona się złościła. Jak brat chwalił Maciusia, siostra wyśmiewała. A ile było bójek po szkołach, trudno zliczyć.

Aż prefekt policji wydał rozkaz, że w teatrach, ogrodach, szkołach, w ogóle w miejscach publicznych – nie wolno wcale wspominać Maciusia. A kto przestąpi zakaz, zapłaci karę albo odsiedzi trzy dni aresztu.

Dzięki temu zarządzeniu jeszcze więcej o Maciusiu mówiono. Bo już tak jest na świecie, że najprzyjemniej mówić i robić, czego nie wolno.

Pije Maciuś słodką herbatę, je bułkę z kiełbasą, rozmawia o tym i owym. Czeka, kiedy zaczną znów rozpytywać, kim jest i skąd przybył. Ale się nie pytają – tym lepiej.

– Przynieś, Janek, zamieć, Janek, podaj, odstaw, zawiąż, wylej.

Próbują, czy posłuszny, zwinny, rozgarnięty. Najpewniej uciekł z domu i nie chce się przyznać. Taka przyszła moda, że dzieci zhardziały, że byle co – uciekają. Powłóczy się, wygłodzi – i wraca. Rodzice zadowoleni, że się nic złego nie stało, i już ostrożniejsi; a chłopak też nauczony, żeby nie brykać za wiele.

– Pobędzie trochę, oswoi się, to i wyśpiewa. A tymczasem przydać się może. Byle był uczciwy.

Uczciwy. Resztę przynosi, jak trzeba, kiedy coś kupuje.

Cichy, mówi mało – tylko jeść nie chce.

– Jedz, Janek. Widzisz przecież, że nie brakuje. Wstyd nam robisz przed sąsiadami: chudy taki – pomyślą, że cię głodzimy.

– Nie mogę: zęby mnie bołą.

A Maciuś ciągle patrzy w lustro. Ucieczka prędzej czy później musi się wykryć. Będą go szukali, może już szukają cichaczem. Więc chociaż przebrany, nie może być zanadto podobny do siebie: musi być chudy, to nikt go nie pozna.

Więc już...

Pracuje Maciuś, a gdzie znajdzie gazetę, chowa i czyta. Z początku ukradkiem, potem już jawnie. Odnosi coś czy przynosi, a zobaczy na murze nowe ogłoszenie, zaraz przystaje i czyta.

Wie teraz wszystko.

Prezes ministrów, minister finansów – wyjechali za granicę, dokąd jeszcze przed wojną wysyłali pieniądze i kosztowności. Minister wojny założył szkołę tańców. Minister zdrowia ma skład apteczny, sprzedaje mydła pachnące, proszek do zębów. Szlachetny minister sprawiedliwości został kontrolerem tramwajowym, bo po procesie Maciusia nie chce mieć nic do czynienia z sądami. A minister handlu ma owocarnię i do spółki z mistrzem ceremonii – kinematograf<sup>19</sup>. Najgorzej się powiodło ministrowi oświaty: gazety przed dworcem sprzedaje. A doktor<sup>20</sup>

---

<sup>19</sup> *kinematograf* (daw.) – kino. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *doktor* – dziś popr.: doktor. [przypis edytorski]

umarł ze zgryzoty<sup>21</sup>.

W pałacu Maciusia mieszka misja zagraniczna. W ogóle nazjeżdżało się z całego świata różnych cudzoziemców, włóczęgów i awanturników. Najlepsze miejsca w teatrach oni zajmują, jeżdżą samochodami, piją i jedzą dużo, a za wszystko muszą płacić mieszkańcy stolicy.

W parlamencie dorosłych urządzono walki siłaczów<sup>22</sup>, a w parlamencie dzieci sztuki magiczne.

Koszary przerobiono na browar, bo ludność ze zmartwienia piła dużo piwa.

Część czarnych dzieci została kominiarzami, a inne służą po cukierniach, żeby gościom podawać gazety i wycierać marmurowe stoliki.

„Od czego tu zacząć? – myśli i myśli Maciuś. – Przecież komuś muszę się przyznać, przecież sam nic nie zrobię.”

Staął Maciuś przed owocarnią ministra handlu. Nie żeby go bardzo lubił, ale że człowiek praktyczny.

– Wejść czy nie?

Nie wszedł. Wraca do domu.

– Tak bym chciał kupić funt jabłek.

Po raz pierwszy prosi, bo do tej pory tylko odmawiał. Ucieszyli się, dali na jabłka.

– Proszę o pół funta jabłek.

Minister poznał Maciusia po głosie. Drgnął – spojrzał –

---

<sup>21</sup> *zgryzota* – zmartwienie. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *siłaczów* – dziś popr. forma D. lm: siłaczy. [przypis edytorski]

ciężarek półfuntowy wypadł mu z ręki.

– Niech wasza kró...

Maciuś położył palec na ustach.

– Ach, co ja plotę... Dajcie mi ciężarek... Albo nie... Niech mi pan subiekt przyniesie papierosy... Niech pani kasjerka obliczy pieniądze, czy wszystko w porządku.

A Maciusiowi daje znak, by wszedł do składu za sklepem.

– Jak może mnie wasza królewska mość narażać na niebezpieczeństwo – mówi szeptem. – I tak już mam za swoje. Byłem ministrem, teraz jabłka sprzedaję. Tu nawet imienia króla wspominać nie wolno; a gdyby się tylko dowiedzieli... Proszę, błagam waszą królewską mość, żeby więcej do mnie nie przychodził, bo inaczej, szczerze przyznaję, będę zmuszony donieść o wszystkim policji. To trudno: mam żonę, dzieci – nie mogę unieszczęśliwić rodziny.

– Ależ ja się chciałem tylko dowiedzieć...

– Tak, ale ja nie wiem i nic nie powiem – przerwał minister. – Mogę dać funt, no, trzy funty jabłek czy gruszek, ale nic więcej.

– Nie po jałmużnę przyszedłem – odpowiedział Maciuś wyniośle i wyszedł.

Biedny król-tułacz. Już nie ma ochoty zwracać się do innych ministrów. Mija tydzień i dwa. A im dłużej się zastanawia, tym wyraźniej widzi, że tylko takie drogi zostały:

Albo ukazać się nagle wśród tłumu i krzyknąć: „Do broni!”. Uzbroić ludność, aresztować zagranicznych posłów, okopać miasto – i raz jeszcze szczęścia spróbować.

Albo iść do pałacu i oznajmić: „Jestem Maciuś Pierwszy”. Niech wyślą na wyspę bezludną.

Albo być nadal chłopcem na posyłki – i czekać.

Była czwarta droga: udać się do smutnego króla. Ale tego Maciuś nie robi.

„Zaczekam – postanowił wreszcie. – Przecież coś stać się musi”.

A tymczasem służy. Rano otwiera i zmiata sklep, chodzi z koszykiem na targ, w piecu napali, kartofle obierze, paczki odnosi.

– Weź, Janek, pięćdziesiąt serdelków i dziesięć funtów kiełbasy, zanieś do restauracji na ulicę Nową. Dawniej nazywała się ulicą Maciusia Reformatora.

– Wiem – mówi Maciuś.

Idzie, niesie koszyk. Ale na ulicy jakiś ruch niezwykły. Jakieś niby wojsko, niby policja – kręcą się, zatrzymują przechodniów: i dorosłych, i dzieci.

Patrzy Maciuś – na murze nowe ogłoszenie. Dużymi literami: „Pięć milionów nagrody”.

Nareszcie!

5 000 000 nagrody

Były król Maciuś Pierwszy zbiegł w drodze na bezludną wyspę. Kto pochwyci Maciusia albo wskaże, gdzie się ukrywa, ten otrzyma powyższą nagrodę.

Uprasza się, aby każdy miał przy sobie metrykę, szczególnie chłopcy w wieku Maciusia. Uprzedza się

rodziców, że chłopcy bez dokumentów będą aresztowani.  
Więc żeby się potem nie gniewali.

„Pięć milionów – kręci Maciuś głową – nie wiedziałem wcale, że królowie tyle są warci. Ileż to serdelków można by dostać za jednego króla”.

Ucieszył się Maciuś, że wreszcie zmieni się coś w jego życiu. Wracać nie ma po co. Już za bardzo mu dokuczali: a co za jeden, a skąd, z jakiej szkoły, dlaczego tak pilnie czyta gazety, co z nich rozumie, dlaczego nosi fotografię królowej? Od razu się domyśla.

– Skąd idziesz? – zatrzymał go patrol.

– Od rzeźnika.

– Masz legitymację?

– Mam.

– Pokaż.

Maciuś z niewinną miną pokazuje kielbasę.

– Głupiś. To kielbasa. Pokaż jakiś dokument.

– Mój pan takiej wędliny nie robi.

– Niech idzie: co z głupim gadać.

Przeszedł dwie ulice – znów to samo.

– Paszport, matrykuła, legitymacja.

– Dajcie, panowie, spokój: śpieszę się. Restaurator czeka.

Ale widzi, że to nie żarty. Więc już ostrożniej, bocznymi ulicami kieruje się za miasto.

– Stój.

Maciuś ani drgnął: idzie.

– Stój, bo strzelam.

Maciuś idzie dalej. Strzela żołnierz w powietrze – Maciuś nic.

– Ach, ty kundlu jeden, żarty stroisz z policji?

Maciuś pokazuje na migi, że głuchy.

– Puścić go chyba? Głuchy jak pień. Nawet strzału nie słyszał.

– A mnie co obchodzi? Kazali aresztować, to aresztować.

Nikogo nie przyprowadzimy – mogą nawymyślać. A może, jucha, udaje. Może to kradzione?

Widzi Maciuś, że źle. Trzeba uciekać. I musi mieć trochę prowizji, bo trzeba parę dni się ukrywać z dala od ludzi.

Idą noga za nogą. Żołnierze mówią:

– Powariowali z dobrego bytu. Uciekł Maciuś z bezludnej wyspy, to tu go szukają. Aby ludzi dręczyć.

Jeszcze dwóch chłopców zagarnęli w drodze. Ci proszą, lamentują – żołnierze bardziej źli. Idą. Trzej chłopcy na przodzie, policjanci z tyłu; a obok koszyka Maciusia cztery psy się wloką. Bo rzemieślnicy bardzo zubożeli, dla siebie niewiele mają włożyć do garnka, więc psy wygnali. I dużo głodnych psów się plątało po podmiejskich ulicach.

Aż tu Maciuś wyjmuje z koszyka wianek serdelków, zarzucił na szyję, przewiązał w pasie, w każdą rękę po jednej kiełbasie – kosz kopnął w stronę – i w nogi.

Trzymaj-łapaj!

Teraz Maciuś na przodzie, za nim psy w podskokach, za psami żołnierz. Bo drugi przy chłopakach został.

Rzucił żołnierz karabin – już prawie dogania, Maciuś buch

za siebie kielbasę. Zakotłowała się psiarnia. Żołnierz na nią. I zarył nosem w ziemię, a psy dawaj na niego. Maciuś przeskoczył parkan, jakieś jedno i drugie podwórze. Patrzy: ogród, w nim pełno dzieciaków. Małe, większe, chłopcy, dziewczęta. W głębi ogrodu dom; a tu furka otwarta; a z boku domek parterowy, a za nim krzaki.

Nagle rozległ się dzwonek. Dzieci biegną do domu. Szkoła jakaś chyba.

I ot, siedzi Maciuś w krzakach i rozgląda się, gdzie by ukryć zapasy.

– To jest dom sierot, a nie szkoła. W szkole tylko uczą, a my tu mieszkamy. Jemy, śpimy – wszystko. Mojego tatusia zabili na wojnie, twojego pewnie także. Żeby się tu dostać, trzeba złożyć podanie. Zanim przyjmą tu dziecko, to bardzo długo trwa. Ale ja ci radzę: zostań, i już. Nikt nie zauważy. Dawniej co innego: wszyscy mieliśmy jednakowe ubrania: ale po wojnie wszystko się zmieniło. Każdy robi, co chce.

– Ale dzieci przecież poznają, że nowy – mówi Maciuś.

– To nic. Starszym rozda się serdelki, żeby nic nie mówiły, a malcy będą się bali. Muszą się nas słuchać, bo jak nie – w zęby – i cała parada. Zresztą, jak chcesz, możesz siedzieć w krzakach tymczasem. Ja się naradzę ze skautami.

– Są u was skauci? – ucieszył się Maciuś.

– Jacy tam skauci. Papierosy palą i nie mają pasa ze skautowskim nożem. Tylko się tak nazywają. Mówię ci: nie

ma żadnego porządku. Co kto chce, to robi. Powiedziałbym ci coś, ale nie wygadasz? Więc mamy tu tajny związek Zielonego Sztandaru. Patronem naszym jest – tylko pamiętaj, bo to tajemnica – patronem naszym jest Maciuś. Chcemy wykraść Maciusia z bezludnej wyspy. Tylko pamiętaj: gdybyś komu choć słówko powiedział, to już wiesz, co będzie. To jest nasz najtajniejszy związek.

Rozległ się dzwonek.

– Posiedź trochę, bo muszę iść na lekcję. Sprawdzają przed pierwszą lekcją, potem można już nie być. Bywaj, za godzinę. Masz tu kawałek chleba.

Zjadł Maciuś chleb, dwa serdelki, siedzi w krzakach i myśli, co robić. A tu nagle wali do ogrodu policja.

„Będą szukali”.

Wcale nie. Sprowadzili z więzienia może stu chłopców aresztowanych na różnych ulicach. Rodzice się zbuntowali, poszli przed więzienie, awanturę zrobili, że ha!

– Nie chcemy, żeby dzieci razem ze złodziejami siedziały.

Więc przeprowadzono chłopców z więzienia tu, do domu sierot.

Wybiegł jakiś gruby pan, rękami macha, złości się, krzyczy:

– Dlaczego nie uprzedzono? Gdzie ja ich podzieję? Ani miseczek, ani kubków nie mam dla nich. Gdzie oni będą spali?

– My nic nie wiemy – mówią dozorczy więzienni. – Kazali, więc kazali, i już.

I poszli.

A tu dzieci z domu wybiegły do ogródka. Już teraz nikt nic nie wie. Wyniesiono dwa stoły, zaczęto na arkuszach spisywać, jak kto się nazywa i gdzie mieszka.

– Ja jestem synem adwokata.

– Mój tatuś jest żandarmem.

– Moja mamusia aktorką.

– Mój tatuś posłem zagranicznym.

Nagle zajeżdża samochód.

– O, tatuś przyjechał.

Zagraniczny poseł zaczyna krzyczeć na grubego pana.

– Jakim prawem? – powiada. – Co to za porządki?

A tu znów policja sprowadza ze czterdziestu nowych.

– Oddaj mi moje dziecko! – krzyczy żona zagranicznego posła.

Już wali do ogródka cała kupa rodziców. Płacz, wrzask, wymyślania.

„Teraz już mogę wyjść z krzaków – pomyślał Maciuś – Jeżeli policja w ten sposób ściąga przestępców, dziwię się, że w ogóle może kogoś złapać. Jestem bezpieczny”.

I Maciuś tak się czuł bezpieczny, że przecisnął się aż do samego stolika, gdzie stał gruby pan i próbował uspokoić publiczność:

– Moi szanowni ojcowie i matki, jestem dyrektorem domu sierot, a nie naczelnikiem więzienia. Dla mnie jest to wszystko bardzo przykrą niespodzianką. Jestem, proszę państwa, uczonym wychowawcą, autorem uczonych książek o dzieciach.

Napisałem książkę pod nagłówkiem *365 sposobów, żeby dzieci nie hałasowały*. Napisałem drugą książkę: *Co lepsze: czy guziki blaszane, czy rogowe?*. Trzecia moja książka pedagogiczna ma tytuł: *Chów trzody chlewnej w internatach*. Bo trzeba państwu wiedzieć, że tam, gdzie jest dużo dzieci, zostaje dużo obierzyn i pomyj. I to się nie powinno marnować. W moim internacie najbardziej chude prosiątko wyrasta na doskonałą świnkę. Dostałem dwa srebrne medale. Jak tylko spojrzę na dziecko, zaraz wiem, co ono warte. Poznają po twarzy, po oczach, po wszystkim. Proszę was, spójrzcie tylko na tę dziewczynkę...

I dyrektor wskazał na stojącego przy stole Maciusia.

– Spójrzcie na jej łagodną twarzyczkę i rozumne oczęta. Jest niedawno, ale znam ją na wskroś; jej duszyczka nie ma przede mną tajemnic. Każdą jej myśl czytam jak na dłoni.

Dyrektor jedną rękę oparł o głowę Maciusia, a drugą otworzył i patrzy. I Maciuś nie na żarty się przestraszył, żeby dziwny, gruby pan czego niepotrzebnego tam nie wyczytał.

Kiedy rodzice przekonali się, że dzieci nie są w więzieniu, tylko pod opieką uczonego wychowawcy, już nie robili awantur, rozeszli się spokojnie. Tylko zagraniczny poseł zatelefonował do prefekta policji i otrzymał pozwolenie na odebranie synka, którego zaraz zabrał do samochodu.

Po chwili znów wybiega dyrektor i krzyczy:

– Panowie wychowawcy! Za pół godziny odbędzie się narada, jak szukać zbiegłego Maciusia. Przyjedzie tu bardzo wiele znakomitych osób. Proszę zmienić dzieciom bieliznę, umyć im

uszy i wytrzeć nosy. Rozumiecie: ani jednego zasmarkanego nosa. I niech jakaś dziewczynka da bukiet prefektowi policji. Najlepiej – ta mała z łagodną twarzą. Hej, służba, chodźcie sprzątać!

I poleciał.

– Gdzie jest ta dziewczynka, która ma podać bukiet? – pyta się wychowawca.

– To ja – mówi Maciuś. – Ale jestem chłopiec, wcale nie dziewczynka.

– Ach, ty zarozumiałcze! – rzucili się na Maciusia wychowawcy. – Jak dyrektor mówi, że jesteś dziewczynka, toś dziewczynka, i koniec. Za upór i nieposłuszeństwo nie dostaniesz jutro obiadu.

I w pół godziny później Maciuś, ubrany w białą sukienkę z różową szarfą – podał prefektowi policji bukiet kwiatów. A za prefektem zaraz przyjechali: naczelnik policji śledczej, sędzia policji kryminalnej, szef żandarmerii, dyrektor defensywy i jeszcze ze dwadzieścia<sup>23</sup> miejscowych i zagranicznych łapaczów<sup>24</sup>.

– Panowie – zabrał głos dyrektor domu sierot. – Jestem wychowawcą i uczonym pisarzem. Moje zadanie pilnować, żeby dzieci nie gubiły chustek od nosa, żeby nie hałasowały i nie obrywały guzików. Ale jeśli idzie o pochwylenie zbiegłego

---

<sup>23</sup> *dwadzieścia* – tu popr. forma D. lm r.mos.: dwudziestu (jako że mowa o łapaczach, czyli mężczyznach zajmujących się łapaniem zbiegów). [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *łapaczów* – dziś popr. forma D. lm: łapaczy. [przypis edytorski]

dziecka, wiem lepiej, bo znam dzieci. Z całą stanowczością twierdzę, że Maciusia nie ma w stolicy. Maciuś zapewne ukrył się w lesie i znaleźli go śpiącego Cyganie albo wieśniaczka. Maciuś ukrywa się na wsi albo wśród bandy Cyganów. Jeżeli Maciusia poznali, to pewien jestem, że go wydadzą, bo Maciuś wszystkim się dał we znaki. A jeżeli go nie poznali, z pewnością sam się wygada. Trudno żądać, moi panowie, żeby prosty kmiotek był wychowawcą, więc zanim się domyśli, że ukrywa Maciusia, upłynąć musi kilka tygodni. Stolica zna Maciusia – on by tu i pięć minut nie mógł się ukryć.

Stoi Maciuś przy drzwiach i słucha. Bo dyrektor kazał mu stać przy drzwiach, bo może ktoś poprosi o szklanek wody albo mu coś spadnie i trzeba podnieść. Dorośli nie lubią się sami schylać, bo ich kości boją.

No i radzą – radzą, każdy co innego mówi – aż postanowili, żeby dzieciaków długo w zamknięciu nie trzymać. Niech przenocują, a jutro ich się wypuści. Rodzice mogą przynieść dzieciom obiad, bo niespodzianie przybyły, więc dla nich nic nie przygotowano: więc żeby nie były głodne. Dzieci już nie sprowadzać. No i koniec.

Jak tylko Maciuś, przebrany znów za chłopca, wyszedł na podwórze, obścąpili go wszyscy:

– O czym tam mówili, co robili, czy jedli co i czy smaczne? Czy Maciuś coś dostał od gości? Czy się nie wstydził? Kiedy wypuszczą więźników i co dziś będzie na obiad?

No tak: Maciuś się wstydził, nic nie widział, nie słyszał – nic

nie wie i nic nie powie.

Prędko się odczepili, bo bardzo byli zajęci. Każdy starał się coś wymamicić<sup>25</sup> od więźniów:

- Widzisz, mnie tak potrzebny scyzoryk, a tobie na nic.
- Słuchaj: daj mi lusterko. Ty masz w domu lepsze.
- Jak mi dasz ten piórnik, to ci coś bardzo ciekawego powiem.
- Patrz: włosy mi się ciągle rozlatują – daj mi tę zapinkę.

Nie wszystkie dzieci wymaniały: jeśli nawet kto nie brał, przyglądał się i słuchał. Była to zupełnie nowa rozrywka i ciekawe widowisko. Bo tak – biegały tylko po podwórku albo chodziły parami przez ulicę. A chodzić parami nie jest przyjemnie, bo zaczepiają – i nie można oglądać wystaw sklepowych.

Zapomniałem powiedzieć, że Maciusia przebrali w sukienkę córki gospodyni, a potem dali ubranie chłopca, ale nie to, które dostał od zwrotniczego. Więc teraz zupełnie się już nie różnił od wszystkich.

Zresztą – i tak nikt nic nie wiedział. Aż do późnego wieczora przychodzili rodzice z paczkami. Takiej uczyty nie pamiętali najstarsi wychowańcy.

Eeech, wesoło. A dzięki komu to wszystko?

– Niech żyje król Maciuś! – ośmielił się ktoś krzyknąć.

I wszystkie dzieci, nawet uwięzione, powtórzyły dwa razy zgodnym chórem:

---

<sup>25</sup> *wymamicić* a. *wymanić* (daw. pot.) – wyłudzić, uzyskać podstępem lub natrętnymi prośbami. [przypis edytorski]

– Niech żyje! – niech żyje!

A Maciuś miał wielką ochotę krzyknąć także:

„Niech żyje pułkownik Dormesko!”

Pułkownik Dormesko, sam o tym nie wiedząc, przysłużył się Maciusiowi jak najszczerzy przyjaciel. Trzy dni po ucieczce Maciusia jedzie dalej, jakby się nic nie stało. Warta stoi na korytarzu – pilnuje. A Dormesko śpi.

Zajechali do morza. Zebrała się kupa gapiów, bo ten i ów albo wiedział, albo się domyślał, że w porcie czeka okręt właśnie na Maciusia.

Wynoszą kufer Maciusia, wynoszą drugi – pana pułkownika, wynoszą klatkę z kanarkiem. Wychodzi pułkownik. Pięciu warty z jednej strony, pięciu z drugiej.

– Gdzie Maciuś?

Gapie źli: stali parę godzin na deszczu i przegapili. Ale ciekawi ich ta klatka z kanarkiem.

Komendant portu otwarcie zapytał:

– Gdzie Maciuś?

– Czy pan jest władzą lądową i morską? – mruczy Dormesko zły, że strach.

– Ano, jestem – odpowiada komendant.

– Więc ma pan rozkaz okazać mi pomoc, nic więcej. Proszę dać łódkę. I jak wsiądziemy na okręt, niech rusza.

Czeka kapitan okrętu, patrzy, dziwi się. Dziwią się marynarze, a że ludzie zabobonni, niejednemu przyszło do głowy, że kto wie,

czy Maciusiem nie jest właśnie kanarek w złotej klatce. Może go królowie zaczarowali, a może Maciuś nigdy nie był człowiekiem?

Po przyjeździe na bezludną wyspę odebrał Dormesko pokwitowanie na to, co przywiózł, a sam wraca. Śpi niespokojnie, sumienie go dręczy. Przykro staremu słuźbiście nie wykonać dokładnie rozkazu.

Raport, jako ważny dokument historyczny, podaje dosłownie:

Twierdza. Czwarty Fort Śmierci. Rozkaz w punkcie pierwszym wykonałem. Rozkaz w punkcie drugim wykonałem. Punkt trzeci rozkazu wykonany częściowo: rzeczy Maciusia przewiozłem w całości na bezludną wyspę (pokwitowanie załączam). Punkt czwarty rozkazu wykonany niniejszym raportem. Były król Maciuś w drodze zbiegł. Pułkownik Dormesko.

Posłał raport przez ordynansa i znużony podróżą – położył się spać.

To, co się później działo, było największą awanturą, jaką świat pamięta.

Że Dormesko grożono rozstrzelaniem, degradacją, karnym batalionem, ciężkimi robotami – to głupstwo. Nie, wśród samych królów działo się coś niebywałego. Odbywały się trzy posiedzenia w dzień i jedno w nocy. Każde posiedzenie w innym mieście, czasem jednocześnie w dwóch różnych miastach. Z początku tajne, ale panowie od gazet dowiedzieli się, że Maciuś uciekł – i w te pędy za królami. Pociągi jeżdżą jak zwariowane.

Ministrowie pogubili walizy, mistrze<sup>26</sup> ceremonii – głowy. Druty telegraficzne pękały od nawału depesz. Nadzwyczajne dodatki gazet wychodziły niekiedy o drugiej i trzeciej w nocy i ludzie w koszulach, jak podczas pożaru, wybiegali na ulicę kupować. Iluzjony<sup>27</sup> powyciągały stare filmy z Maciusiem. Wszędzie Maciuś i Maciuś. Cygara – Maciuś Pierwszy. – Cukierki – Maciuś Pierwszy. Wódka macusiówka. O rety!

– Nadzwyczajny dodatek! Rewolucja u młodego króla!

– Nadzwyczajny dodatek! Smutny król się zbroi!

– Nadzwyczajny dodatek! Rewizja w pałacu Kampanelli!

– Nadzwyczajny dodatek! Wojna południowej Afryki z północną!

– Nadzwyczajny dodatek! Zerwanie przyjaźni żółtych królów z białymi!

Tysiąc dwanaście razy donoszono, że Maciuś schwytyany – a za każdym razem kogoś innego chwymano, albo zupełnie kłamali, żeby gazet więcej sprzedawać. Nagrodę za głowę Maciusia podniesiono z pięciu na dziesięć milionów.

Każdy czekał, że stanie się coś niezwykłego, ale co się dzieje naprawdę, nie wiedzieli nawet królowie. Jedno było pewne: jeżeli nie złapią Maciusia, już się nie uspokoi. Ani czarni i żółci królowie, ani dzieci nie tak łatwo dadzą się usunąć od sprawy Maciusia. Wszystkie białe, czarne i żółte dzieci były po stronie Maciusia. Dopiero młodzież dzieliła się na partie.

---

<sup>26</sup> *mistrze* – dziś popr. forma M. Im: mistrzowie. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *iluzjon* (daw.) – kino. [przypis edytorski]

Na próżno zamknięto fabrykę stalek<sup>28</sup> maciusiek<sup>29</sup>, na próżno nałożono karę na dwanaście sklepów za wystawienie pocztówek z Maciusiem, redaktor Zielonego Sztandaru siedział w kozie, znany poeta za hymn o Maciusiu miał wytoczoną sprawę sądową. Szkoły obstawiono wojskiem. Zabroniono dzieciom sprzedawać zielone materiały na sztandary. Za grę „w zielone” nauczyciele zostawiali w kozie<sup>30</sup>. A znany z głupoty cesarz Pafnucy wydał rozkaz, że on – z Bożej łaski cesarz i samodzierzec<sup>31</sup> – żąda, aby w ciągu miesiąca wszystkie rośliny ogrodów, lasów i placów miejskich – zmieniły barwę.

Było gorzej. Księżna Iola Bengalska na balu króla Ludwika wystąpiła w zielonej sukni. Syn Orestesa, mały królewicz Hestos, stanął na czele pochodu zbuntowanych uczniów. Rewolucyjne napisy, które niesiono przez miasto, głośiły:

Żądamy lepszych ołówków i kredek, bo dla dzieci robią najgorsze ołówki, które się łamią.  
Papier w zeszytach jest lichy.

---

<sup>28</sup> *stalka* a. *stalówka* – w czasach, w których powstała ta książka, pisano piórem, przy czym tzw. wieczne pióra były drogie, więc dzieci w szkołach używały zwykle pióra składającego się z podłużnej drewnianej osiadki z zamocowaną metalową stalówką, którą maczało się co chwilę w kałamarzu z atramentem. Długopis został wynaleziony w 1938 r., a do powszechnego użytku wszedł znacznie później. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *maciuśka* – tu: stalówka marki „Maciuś” (zapewne słowo wymyślone na bieżąco przez autora). [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *zostawiać w kozie* (pot.) – karać, zamykając ukaranego w jakimś pomieszczeniu w szkole, w czasie lekcji, a częściej po lekcjach. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *samodzierzec* lub raczej *samodzierzca* – władca rządzący niepodzielnie, władca absolutny. [przypis edytorski]

Źle opravione są książki szkolne. Oprawa zaraz się zrywa.

Precz z ubraniami na wyrost.

Niech żyją cukierki i czekolada. Od cukierków nie psują się zęby.

A na afiszach wyborczych w republice Północnego Koguta jedna partia wyraźnie zapowiedziała walkę o równouprawnienie Murzynów i dzieci.

Już sami królowie nie wiedzą, kto się z kim przyjaźni i na kogo gniewa. Jeden na drugiego zwała winę za to, co się stało.

– Tyś pierwszy zaczął wojnę z Maciusiem.

– A ty żądałeś, żeby Maciusia ogłosić królem.

– A ty pozwoliłeś, żeby Maciuś woził złoto Bum-Druma przez twoje państwo.

– A u ciebie Maciuś poznał się z Murzynami.

– Ty pokazałeś mu parlament.

– Twój szpieg założył mu gazetę.

I wychodzi tak, że musi być wojna. Ale każdy boi się wspomnieć o wojnie, bo nie wie, kto pójdzie z nim, a kto przeciw.

Jak się w szkole pokłóca, przychodzi nauczyciel, skrzyczy jednego, drugiego albo w kącie postawi – i koniec. Jak się ministrowie pokłóca, przychodzi król i wszystkich albo kilku wyrzuci, to znaczy: daje dymisję.

Ale co robić, jak się królowie pokłóca?

Jest na to sposób. Zawsze znajdzie się jakiś bardzo mądry człowiek – nazywa się dyplomata – i obiecuje, że wszystko

będzie dobrze, że bić się nie trzeba. Toteż i teraz zjawił się taki: stary już i bardzo a bardzo mądry – lord Pux.

Lord Pux pali fajkę i mało mówi. Gazety piszą, że można być spokojnym, bo jeżeli lord Pux podejmie się, zrobi; jak coś obieca, to i dotrzyma.

Pojechali wszyscy na wyspę Fufajkę. Lord Pux bierze listę, wywołuje, czy kogo nie brakuje.

– Jest. – Jest. – Chory. – Jest. – Jest. – Wyszedł do ustępu<sup>32</sup>, zaraz wróci. – Jest. – Nie ma.

Są prawie wszyscy królowie. Cicho. Czekają, co lord Pux powie. A on nakłada tytoń do fajki – wcale się nie spieszy.

– Teraz każdy po kolei musi powiedzieć, czego chce i o co się gniewa.

Gadają: jeden głośniej, drugi ciszej, jeden krótko, drugi długo, jeden się jąka i czerwieni, drugi chrząka, trzeci sepleni. Jeden rękami macha, drugi się kiwa.

Dawniej posiedzenia trwały dwie-trzy godziny, a teraz – od rana do samego wieczora. Lord Pux popiół wytrząsa, tytoń nakłada, nie mówi nic. Nie darmo nazywali go żelaznym starcem. Ani drgnął. A jak kto chciał przerwać albo podpowiedzieć, a nie jego kolej – lord Pux tylko spojrzy, i dosyć.

Już prawie nikt nie słucha – tacy wszyscy zmęczeni. A każdy tylko ciekawy, co lord Pux odpowie.

Skończyli. Cisza. Dziennikarze zatemperowali ołówki. Posłali na telegraf, żeby wszystko było gotowe, bo zaraz mówić będzie

---

<sup>32</sup> *ustęp* – tu: toaleta. [przypis edytorski]

Pux. A on fajkę dokończył, popiół wytrząsł, oczyścił, schował – i powiedział:

– Mhm.

Potem popatrzał<sup>33</sup>, popatrzał i dodał:

– Jutro o siódmej rano drugie posiedzenie.

Dziennikarze w te pędy do telegrafu; ale że wstyd pisać w gazecie, że lord Pux powiedział tylko: „Mhm” i nic więcej, więc każdy wymyśla jakąś mowę i posyła do swojej gazety.

Zebrałi się królowie o siódmej rano, ale źli i niewyspani. A lord Pux już siedzi ze swoją fajką. I znów wywołuje, kto jest, kogo nie ma, kto się spóźnił.

– Ponieważ wczoraj nie wiedział jeszcze nikt, co powiedzą inni, a teraz już wie, więc niech każdy jeszcze raz po kolei powie, czego chce i o co się gniewa.

Królowie znów mówią: jedni to samo, co wczoraj, drudzy trochę inaczej, a jeszcze inni zapomnieli, co wczoraj gadali, i mówią zupełnie inaczej. Znów trzymał ich żelazny starzec do samego wieczora i posiedzenie zakończył słowami:

– Bardzo dobrze. Jutro zbierzemy się o godzinie szóstej rano.

Znów to samo – tylko że kazał im się zebrać o piątej.

Królowie źli, że nie wiem.

– Czy wasza królewska mość przyjdzie? – pyta się jeden drugiego.

Każdy mówi, że nie, że lord Pux żartuje sobie z nich czy co – każe im mówić, sam fajkę pali. Głupiec – królowie nie są

---

<sup>33</sup> *popatrzał* – dziś popr. forma 3 os. lp cz.przesz.: *popatrzył*. [przypis edytorski]

przyzwyczajeni ani tak wcześnie wstawać, ani tak długo siedzieć.

Ale boją się Puxa i przychodzą. A dlaczego się boją, sami nie wiedzą. Tak samo bywa w szkole: jeden nauczyciel krzyczy, do kąta stawia, za uszy targa, a nie słuchają się go uczniowie, a drugi tylko spojrzy i każdy drży. A lord Pux nie tylko patrzył<sup>34</sup> groźnie spod siwych brwi, ale fajkę palił.

Pięć razy kazał Pux królom powtarzać w kółko to samo. Bo jeszcze przyjechali nowi, więc musieli wiedzieć, no i co dzień ktoś mówił inaczej. Bo tymczasem przychodziły inne nowiny.

---

<sup>34</sup> *patrzył* – dziś popr. forma 3 os. lp cz.przesz.: *patrzył*. [przypis edytorski]

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.